DZIŚ I JUTRO

miesięcznik ilustrowany dla młodzieży

rok XII
numer siódmy
marzec 1936

RECENZJE.

Gustaw Morcinek. **Po kamienistej drodze.** Powieść. Okładka i ilustracje Janiny Konarskiej. Państwowe Wydawnictwo Książek szkolnych. Warszawa-Lwów. 1936. Str. 180. Cena zł. 3.60.

Jest to prawdziwy »Hymn o matce«. Autor nagromadził tyle uczucia około postaci matki, że trudno nawet charakteryzować tę powieść, trzebaby całe ustępy przytaczać.

Śliczny jest stosunek Karlika do matki. »Poczekaj mamo! — powiedział raz. — Gdy tylko urosnę, to pójdę do roboty, a wy będziecie siedzieli w izbie i odpoczywali. Poczekajcie, aż tylko urosnę!..«

— I urósł i wykształcił się na inżyniera w Politechnice lwowskiej i mimo radości światowych, jakiemi go otaczali ludzie z wyższych sfer, zerwał wszystko, by uciec samolotem na wezwanie swej chorej matki.

»A stare dłonie matczyne niosły w sobie — na powitanie — chleb z najbielszej mąki pszennej, miodem szczodrze zaprawiany, sycący i błogosławiony, — bez ustanku mozoliły się dłonie przy zdobywaniu owego pszennego chleba dla dziecka. Chleb bywał czarny, lecz w dłoniach matczynych przemieniał się w najbielszy chleb pszenny, którym jej dziecko swój głód ciszyło«.

W cudowny sposób przeprowadza Morcinek matkę po drodze prób, załamania wiary, po drodze usypanej kamieniami — aż do pełnego tryumfu jej serca. »/«.

Najboleśniejsza. nap. O. Bernard od Matki Boskiej Karmelita Bosy. Kraków. 1936. Nakład OO. Karmelitów Bosych Rakowicka 18. Cena 2 zł.

Rozważania te bardzo odpowiednie na czas Wielkiego Postu są nadzwyczaj oryginalnie i nowocześnie ujęte. Głębie przepięknych opisów życia Matki Najświętszej są rozpatrywane z punktu widzenia Jej cierpień, w czytającego wlewają uczucie dziwnej tężyzny i mocy do znoszenia własnych przeżyć, nieraz bardzo trudnych, a jednak tak minimalnych wobec tego, co przeżyła Najboleśniejsza. Wdzięczność całego katolickiego świata należy się Autorowi tej broszury, a już chyba najgorętsza od szczególnych miłośników Marji oraz Jej czcicieli — Sodalisów.

Mała droga Dziecięctwa Duchownego. Według życia i pism św. Teresy od Dzieciątka Jezus nap. G. Martin. Kraków. Nakładem OO. Karmelitów Bosych. Cena 1.50 zł. Ludziom dzisiejszym tak bliską jest ta nasza Święta, która szła przez życie drogą wybitnej osobowości. „Ludzkość potrzebowała przykładu tak prostolinijnego życia. Św. Teresa obcuje z Bogiem tak poufale, tak poprostu, tak bezpośrednio i to czyni Jej osobowość tak dla nas pociągającą, iż ją w tem naśladować może dzisiejszy chrześcijanin. II wydanie tej »Małej drogi«, to prawdziwy skarb dla tych, którzy w codziennym trybie życia szukają wzoru świętości.

Poezje św. Teresy od Dzieciątka Jezus. Przekład XII wydania francuskiego przez Bezimienną. Kraków 1936. Odbito w Drukarni Polskiej.

Dla tych, którzy nasycać lubią duszę nietylko treścią, ale i formą poetycką, zbiór ten będzie miłą strawą duchową. Książka ta nadaje się także jako zbiór poezyj do deklamacyj na obchodach religijnych. To też w bibljotekach Sodalicyjnych i organizacjach młodzieżowych radzimy, by się ta książka znalazła.

Święty Kazimierz. Helena Romer. Wilno 1936. str. 47. Teatr Amatorski.

W okresie święta Patrona Polski lub na obchodach ku uczczeniu Patrona osób wybitnych, przyda się bardzo ten nowy utwór sceniczny, ujęty głęboko, historycznie a barwnie.

Wzruszające sceny z życia naszego Świętego i finał sztuki, walka ze śmiercią młodzieniaszka, uczynić może wzruszające wrażenie na audytorjum, obudzając głębokie myśli i refleksje.

Inscenizacja bardzo uproszczona, pozwala wystawiać tę sztukę także i na scenach amatorskich, ubogich zwykle w stroje i dekoracje.

Autorce należy się specjalna wdzięczność, za tak staranne i piękne opracowanie życia tego królewicza — bohatera zwycięzcy w zawodach życiowych.

Dziś i Jutro

pismo dla młodzieży

Kraków.

Rok XII. Marzec 1936. Nr. 7.

Testament Syna.

Wisiał Jezus na krzyżu, a u stóp krzyża stała Jego Matka.

Cicha rozmowa ich serc wciąż trwała. Lecz Jezus w tych chwilach swej męki nietylko był Synem Marji, był Zbawcą całej ludzkości, należał do wszystkich, więc o wszystkiem musiał pamiętać. Spojrzał z krzyża i ujrzał Jana, Magdalenę, święte niewiasty... początki rodzącego się Kościoła, pierwociny tych niezliczonych dusz, które miały w Niego uwierzyć, iść za Jego nauką i przykładem. Serce Jezusa żywiej uderzyło miłością! Chciałby im dać coś na pożegnanie, dowód bezgranicznego umiłowania, jakiem ich i przyszły Kościół kochał. Oddał im wszystko; swą sławę, swe ciało, swą krew... nic już nie ma. Nie! Jest jeszcze jeden skarb największy: Matka, tu u stóp Jego krzyża stojąca. Spojrzał na Nią czule, Ocean boleści! Serce Jej zalane bezmiernem cierpieniem, lecz również rozszerzone bezgraniczną miłością, było bardzo bliskie w uczuciach Jego Serca. Zdolne więc jest, by przyjąć do Siebie wszystkich ludzi, by zostać ich matką. Niewiasto, oto Syn Twój! Synu, oto Matka Twoja! — Spłynęły z krzyża uroczyste słowa Jezusa.

Spojrzała Marja na Jezusa, zrozumiała wszystko i wyrzekła w sercu Swe drugie: Fiat. — Niech się stanie. Chociaż ono miało być dla Niej niemniej bolesne, niż to pierwsze. Zamiast Boskiego Swego Syna, Światłość wieczystej światłości, Boga z Boga, otrzymywała teraz za swe dzieci, ludzi, ułomnych, słabych, grzesznych, których tylu będzie tak bardzo niewdzięcznych. Ileż odtąd musi ponieść wysiłku, by je wyrywać z kajdan grzechu, z paszczy piekła, a wieść do chwały wieczystej!

Ale przyjęła chętnie i z całą gotowością Testament Syna. Tu pod krzyżem Jej miłość ludzi doszła do kresu. Tak jak i On, ukochała ich ogromem cierpienia i ofiary, którą złożyła dla nich; czuła się ich matką, ich współodkupicielką i trzeba tylko było, by Jezus potwierdził te tytuły. Od chwili Wcielenia była już matką ludzkości, a teraz trzeba było tylko uroczystego potwierdzenia tego macierzyństwa. I Jezus to uczynił. Uroczystym testamentem umierającego Jezusa, Marja została ogłoszona naszą Matką.

Niewiasto, oto Syn Twój. Tak to Jezu żegnasz Matkę? Nawet nie dajesz Jej nazwy Matki, mówiąc: niewiasto, jak do jakiej obcej, dalekiej osoby? Ty, coś tak tkliwie żegnał apostołów w wieczerniku, tyleś im okazywał miłości najczulszej, przemawiałeś do nich z największym wylewem serca, teraz nie masz gorętszego, czulszego słowa dla swej Matki?

Gdy wszyscy Cię opuścili, Ona przy Tobie pozostała; gdy inni wątpią, Ona wierzy

najwyższą wiarą; gdy inni Cię znieważali, dręczyli i urągali, Ona nie lęka się oszalałych wrogów, trwa przy Tobie, kocha Cię najbardziej wtedy i adoruje. Wszak wiesz, że matka nie patrzy nigdy, gdy zadają śmierć jej dziecku, a Ona jednak, najdelikatniejsza z matek, stoi pod Twym krzyżem i patrzy na Twe konanie. I Ty za to wszystko nie masz innych słów niż te tylko, tylko te... nazywasz ją tem suchem słowem: niewiasto.

Ta scena na Golgocie i słowa Jezusa dają nam świadectwo, na jak nieskończenie wysoki stopień wzniosła się Marja. Gdyby bowiem była tylko słabą, zbolałą matką, pocieszyłby Ją Jezus i pożegnał nieskończenie czulszemi słowami, niż apostołów w Wieczerniku. Ale Jezus nie uważa Jej za istotę słabą, żądającą pociechy, lecz uważa Ją za zdolną do wychylenia pełnego kielicha goryczy. I dlatego jak sobie, tak i Jej nie oszczędził ostatniej kropli bólu. Jezus był dla wszystkich pełen niezmiernej dobroci i miłosierdzia, tylko dla Siebie i dla Swej Matki nie miał ani kropli litości. Bo tem bezgranicznem poświęceniem się, tą najzupełniejszą ofiarą ze Siebie i Swej Matki, istoty, którą najbardziej kochał, chciał przemówić do serc ludzkich i tym ostatnim czynem podbić je dla Siebie. I rzeczywiście, kto pod krzyżem nie ukocha Jezusa i Jego Matki, ten ich już chyba nigdy nie ukocha!

Wyjątek z książki „Najboleśniejsza" str. 161.

Stańmy pod Krzyżem.

Krzyż to drogowskaz, ufność i opieka,
W krzyżu rękojmia zbawienia wiecznego,
To Chrystjanizmu symbol! W Nim i z Niego
Moc czerpie ziemska bezradność człowieka!
Krzyż nas w nadziei szaty przyobleka,
Łagodzi smutki, odwraca od złego,
Więc kiedy serca zbroić chcemy śpiżem —
Stańmy pod krzyżem!

Na krzyżu skonał pokorny i cichy
Bóg-Człowiek... Władca ludzi i świata!
Z tym wzorem boskim niech duch nasz się zbrata,
Stańmy pod krzyżem, gdy nam świat i ludzie
Prześladowanie rzucą jak przekleństwo!
Gdy ubiczują nasze człowieczeństwo,
Dręcząc w codziennym i tak ciężkim trudzie,
Stańmy pod krzyżem... W jego siły cudzie,
Duch nasz odniesie nad bólem zwycięstwo!

Stańmy pod krzyżem... On zginąć nam nie da!
I nie opuści, gdy będziemy sami!
Ufnie przytulmy doń zbolałe czoła,
Bo zapomnianych — z krzyża Chrystus woła!
Stańmy pod krzyżem w złej i dobrej doli!
Bóg nas ukochał — ukochajmy Jego...
W każdym momencie życia patrzmy w Niego,
Bo On nas z grzechu i cierpień wyzwoli.
Człowiek wezwany jest do wyższej roli,
Nie może zbyć się przeznaczenia swego,
A tylko wtedy zbawienie otrzyma,
Gdy krzyż mu będzie jaśniał przed oczyma!

Jagienka z pod Lublina.

19 MARCA.

Dzień ten ma w sobie tyle smutku i żałoby, a tak niedawno jeszcze był dniem radosnej miłości, gdy myśl serdeczna biegła ze wszystkich zakątków Polski do Belwederu.

Na różnorakich obchodach i akademjach starano się sobie uprzytomnić, czem jest w życiu polskiem Józef Piłsudski: jedni opowiadali o żołnierzu, inni o polityku, inni o mężu stanu, o statyście, — a najuczciwsi i najmądrzejsi z mówców wprost się przyznawali do trudności, jakie napotykają przy podchodzeniu do tego Tytana, którego czynów i działań niesposób zamknąć w słowach, zwłaszcza, że każdy rok przynosił rzeczy nowe, które w pierwszej chwili wprawiały ludzi w trwożne zdumienie, a po miesiącach okazywały się jedynie słuszne i mądre.

Dzień 19 marca od czasu, gdy żołnierze polscy przekroczyli kordony i obalili słupy graniczne, nabierał coraz nowej treści.

W pierwszym powojennym roku szliśmy gromadą akademików przez pełne wiosennego ciepła Aleje do Belwederu i z przejęciem wpisaliśmy się do książki audencjonalnej. Naczelnik Państwa był nieobecny, może dlatego nie było wielkiego tłoku na dziedzińcu: trochę wojska i szarej publiczności... Później rozpoczęły się wędrówki do Sulejówka: gromadki przejętych pensjonarek i gimnazistów którzy samorzutnie wybrali, się by powinszować »Wodzowi« dziatwa ze szkół powszechnych, którą radosną dumą napełnić miała prośba Komendanta, by raz jeszcze powtórzył chór ulubioną piosenkę: »Hej ty Wisło modra rzeko pod lasem«, zwarte grupy studentów z uniwersytetu i politechniki, i rzesza wojskowych wszelkich szarż, wśród których młodzież upatruje legjonowych bohaterów...

Nie dławi przybyłych żaden przymus, ostentacja, pompa... Przed białym domkiem wśród sosnowego boru rojno i gwarno.

Pilnie słucha młodzież tych, którzy stali przy Komendancie w jego przedwojennej, legjonowej i peowiackiej pracy. »Wiecie — mówi jeden z przygodnych opowiadaczy, — że gdym widział legunów przechodzących z tej czy innej okazji mimo Komendanta, zauważyłem, że zawsze czy to było na tyłach czy niemal pod obstrzałem przy całem sprężeniu służbistem — każdy żołnierz czynił jedną rzecz nie przepisową — pozdrawiał wodza uśmiechem najszczerszej miłości i oddania«.

Powiedział ongiś żarliwy apostoł, iż miłość jest najmocniejszem wiązadłem... Marszałek Józef Piłsudski miał przeciwników, którzy go nienawidzili, ale z każdym rokiem przybywało mu tych: którzy go kochali ponad życie...

W Sulejowskim dworku pośród piętrzących się stosów podarków kosztownych i bardzo skromnych, ale gorącem sercem ofiarowanych, stawał Komendant w siwej kurcie i głęboko patrzał w oczy przybyłych...

Gdy powrócił do pracy państwowej, przeważnie robił sobie samemu imieninowy podarek — wyjazd do sercu miłego Wilna.

A mimo to przed Belwederem aż promieniała radość onych imienin.

Od wczesnego ranka kłębiło się mrowie ludzkie. Szły bez końca »cywilne« delegacje. Buńczucznie, z tententem kopyt końskich po żwirze dziedzińca wjeżdżały ułańskie poczty sztandarowe, głucho biły takt marszu buty piechurów, dostojnie wkraczali artylerzyści, lotnicy na motocyklach.

Po drzewach Łazienkowskiego parku czepiał druty patrol telefoniczny, przeciągający w jakimś rekordowym czasie linję z Zegrza do Belwederu, by Centrum wojsk łączności złożyło po swoim kablu życzenia...

I tu, choć to jest Warszawa, stolica, choć więcej niż w Sulejówku jest panów w cylindrach i wspaniałych samochodów, przezwycięża wszelki szablon i ostentację, serdeczne uczucie.

Ongiś na legjonowym froncie, gdy Komendant pełen trosk i odpowiedzialności, kilka godzin rozmawiał ze swem sumieniem, chodząc tam i z powrotem wzdłuż okopu, podbiegł ku niemu młodziutki żołnierzyk i ze szlochem jął błagać — by przecie tak się nie męczył, bo on już patrzeć na to nie może.

Cała miłość oddanych serc nie mogła uchronić Komendanta od męki odpowiedzialności za decyzję.

Komendant brał na siebie odpowiedzialność za losy całej Rzeczypospolitej, za miljony żyć ludzkich, znał wagę i ciężar każdego swego rozkazu —

I musiał przeżywać tragedję każdego wodza — samotność.

Niezawsze bywał zrozumiany, niejedną walkę musiał staczać z kłamstwem, którego nienawidził, z podłością, którą się brzydził.

Choć życie dało mu najhojniejszy swój dar: zwycięstwo i sławę, ale po ostatek dni swoich nie zaznał spoczynku, bo wykuwał potęgę mocarstwową Rzeczypospolitej i całej Polsce świecił przykładem wytrwania w pracy do końca. Musiał być samotny w najcięższych chwilach decyzji, lecz ułatwiało mu realizację oddanie się podkomendnych...

W pracy nie było czasu na sentymenty...

Jedynie 19 marca miłość składała hołd.

Aż przyszedł 19 marca 1936 roku cichy, żałobny. Myśl w takt werbli serc podąża ku Wawelowi... *Zofja Dłużewska-Kańska.*

MÓJ PIERWSZY LOT!

Zajechawszy autobusem „Lotu" przed lotnisko, zasiadłam wygodnie w jednym z ośmiu foteli w samolocie.

Wszystkie miejsca były wykupione, znak, że jednak ludzie latają. Przymocowawszy się pasem w myśl przepisów, oczekiwałam z niecierpliwością chwili startu. Łoskot początkowo wydaje się trochę głośnym, po chwili oswajamy się tak dalece, że nawet nie robimy użytku z waty do uszu, sterczącej z metalowych pochewek nad głową każdego pasażera. Ruszamy. A więc już! Najpierw to uczucie jazdy samochodem po niezbyt gładkiej powierzchni, po chwili moment rozkoszny oderwania się od ziemi. Ta chwila, to jedno z największych wrażeń z całej jazdy. Odczuwamy coś w rodzaju tryumfu razem z wynalazcą, który na wzór ptaka potrafił tak wielką i ciężką maszynę oderwać od przyciągającej ją ziemi i wznieść się razem z nią wzwyż! To jest cudowne! Jesteśmy dumni, tak jakbyśmy uczestniczyli w tym wynalazku!

Istotnie musimy lecieć szybko, gdyż las dostrzeżony przed minutą, już zniknął, a po pewnym czasie wszystkie widoki przesuwają się przed nami, jak w fotoplastikonie i zdają się coraz wolniej biec, a my z naszym samolotem, jakbyśmy w miejscu stali... Znak, że jesteśmy bardzo wysoko. Bo miarą wysokości lotu jest nasze złudzenie, że stoimy w miejscu i gdyby nie motor pracujący bez zmian, myślelibyśmy żeśmy się zatrzymali. Zresztą motor nie robi już na nas większego wrażenia, jak obrót kół w pociągu. Przed nami szyba w oknie, dzielącem naszą kabinę od pilotów, pozwala nam obserwować ich spokojne i pewne ruchy w wielkich futrzanych burtach, gdyż oni jadą w odkrytej części. Milczą, bo niesłyszeliby się nawet gdyby coś mówili, jadą w skupieniu. Z ośmiu osób jadących połowa leci pierwszy raz. Na pierwszy rzut oka można rozpoznać nowicjuszy, ci bowiem rozglądają się ciekawie po sobie i przez okno, skorzy są do pogawędki. Stare wygi — śpią, albo, w najlepszym razie, czytają gazetę. Znajdujemy się wysoko, nie wiemy czy trzysta, czy tysiąc metrów nad ziemią — lecz to nam jest obojętne. Bo oto zostawiliśmy szarą i smutną ziemię w dole, a z nią wszystkie — kłopoty i codzienne troski, czujemy się od nich uwolnieni. Patrząc z okien tak dobroczynego samolotu, który nas chciał wznieść „ponad poziomy", widzimy pod sobą od czasu do czasu chmurki w postaci kłębiącej się różowo srebrnej waty, którą w locie bezlitośnie przebijamy. Te chmurki oglądane i dotykane niemal, to nicość, rozpływająca się pod dotknięciem, jak często nasze marzenia!...

Czujemy się młodzi! Czujemy się panami przestworzy. Nagle słyszymy słowa któregoś z pasażerów: — »Za dziesięć minut jesteśmy na miejscu!« W godzinę i kwadrans pokonaliśmy bez wysiłku przestrzeń, dzielącą Kraków od Warszawy.

Samolot zaczyna się obniżać! Zjeżdżamy coraz niżej i niżej, wreszcie lekki wstrząs, to wielkie nasze gumowe koła dotknęły ziemi. W tej samej chwili dwa krótkie słówka przelatują nam przez myśl. Jedno, to: »już?«, drugie »szkoda«. *Hoesick-Hendrichowa.*

KRZEMIENIEC.

Przez długie wieki słynął w Rzeczypospolitej zamek, którego zdobyć nie mogły tatarskie zagony i tureckie zastępy. Na stromej i wyniosłej górze wznosiła się fortalicja, której kamień węgielny położył Denisko Mokosiejewicz, a uzbroiła w działa z wileńskiej odlewni królowa Bona.

W horodniach, przytulonych wewnątrz murów, szukali schronienia w czas niespokojny okoliczni mieszkańcy, niestety wpuszczano ich tylko liczbą ograniczoną, bowiem zamek był pozbawiony wody. Próżno wiercono studnie w opoce. Więc tylko posiadano zapasy cennego płynu w ostatniej godzinie z dołu w beczkach wciągniętego, a pozatem, obiegające wszystkie okopy rynny, zbierały deszczówkę w cysterny.

Większość obywateli miasteczka i okolicznych wiosek wraz z dobytkiem chroniła się w pobliskie lasy. Dokumenty, podpisy królów noszące zakaz surowy głosiły wyrębu onego ludności azylum.

Niestrudzenie czuwali na basztach strażnicy: wzrok ich biegł w dal ponad zbocza Miodoborów, ku szerokim łęgom nad Ikwą, ku błyskającej o zachodzie złocistą czerwienią kopuł, Ławrze Poczajewskiej i biegnącemu na wschód traktowi Jampolskiemu, skąd najczęściej ukazywały się złowieszcze sygnały dymów i pożarów.

W czasie Chmielnicczyzny podstępem zajął warownię Krzywonos i zniszczył, co tylko zniszczyć się dało. Już nie podniół się zamek i przestał mieć strategiczne znaczenie.

Lecz u jego podnóża nowa powstała twierdza.

Wzniósł ją Czacki pospołu z zamieszkującym pobliskie Tetylkowce Hugonem Kołłątajem. Długo szukali na Wołyniu i Podolu miejsca, gdzieby młodzież z południowo-wschodnich kresów Rzeczypospolitej miała pomyślne warunki dla kształcenia umysłów i serc, dla wykuwania hartownych charakterów.

Pono gdy spojrzeli na to ciche, a tonące w zieleni sadów miasteczko, które w maju zwykło bielić się śniegiem wiśniowego kwiatu, a w lecie rozdzwaniać pszczelą kapelą na



lipach miodoborskich lasów, orzekli, że tam, gdzie Bóg dał oczom śmiertelnych podziwiać takie bogactwo i cuda przyrody i w duszach młodych krzewić się będzie piękno i dobro.

»Chcąc stworzyć zakład skutecznego wychowania, odrazu postanowiono uposażyć go w najlepsze siły i w najlepsze zasoby«.

Nazwa »Krzemieńczanin« stała się słowem, pełnem treści: jeszcze przed powstaniem Krzemieńczanie tworzą zwarte koło w Warszawie, piszą potem krwią swe legitymacje w powstaniu i znów skrzykują się w gromadę na emigrację mniej lub więcej znani, wszyscy ludzie czynnej, twórczej pracy. Nietylko działali na ziemi cudzej, na szczęście wielu cichych, bezimiennych pozostało. Tym nie wolno nawet było zamarzyć o skupieniu się, o zorganizowaniu czegoś wspólnemi siłami. Ale przecie każdy z nich wiedział, co mu czynić należy i dziś stwierdzić to możemy z całym naciskiem, że ich



to było za grobem zwycięstwo — utrzymanie polskości na Wołyniu, Podolu, Ukrainie...

I podziw bierze, jak ci wszyscy ludzie po różnych szerokościach globu rozsiani, do siwego włosa zachowali w sercach gorącą miłość do Krzemieńca. Najwymowniej wyraził ją Słowacki, który z urodzenia był Krzemieńczaninem.

Stajemy przed białym dworkiem, z gankiem na słupach wspartym. Pod oknami fijoletem ściele się grzęda astrów, podobnie być musiało i przed wiekiem, prawie że się zwiduje romantyczna sylwetka kobieca, umiłowana Sally czyta przy wtórze szmeru liści dzikiego wina długie, długie listy: »Na co poleciałem, jak pliszka nad szerokie morze... dlaczego pokochałem orły, gubiące się w szczelinach lawin szwajcarskich, naco strząsnąłem owoce Hesperyd na pomarańczach włoskich rosnące, kiedy mogłem tylko spokojnie iść do Żołobów, albo na Łysą Górę i strząsać sobie przeźroczyste maryny w naszych rodzinnych ogrodach. Wyszedłem na szeroki gościniec i ten mnie odprowadził daleko, nie wiedzącego, gdzie idę...« (19. V. 1838).

Utrudzony wędrowiec, dla którego między Czerczą, a Bazyljanami stała brama Danta z napisem: »Lasciate omni speranza«, dojrzeć się stara najmilszą matczyną głowę w okienku otwartem i za jej wzrokiem idąc, Górę Zamkową, która »ściga ludzi, jak sumienie«. (27. IV. 1832).

A w porze świąt umarłych: »Teraz ulubiona moja pora roku, jesień; patrzę na listki zwiędłe i żółte, ulatujące, jak motylki złote pod memi oknami i myślę o dawnych czasach, kiedym serce miał pełniejsze ognia i smutku. Cóżbym dał, aby pójść z Tobą na spacer, gdzieś na wzgórza cmentarzowe, i prowadzić ciebie pod rękę, i mówić o wszystkiem co nam się wydarzyło, czegośmy nie dopięli, co było szaleństwem, co szczęściem, a co marą próżną« (21. X. 1840). »Kiedyś, usiadłszy z Tobą na cmentarzysku Krzemienieckim, będę ci opowiadał o grobach dawnych i wielkich ludzi i o pomnikach starych wieków. A słuchając moich wspomnień, będziesz się tak uśmiechała, jak niegdyś, słuchając marzeń moich o przyszłości«. (19. II. 1837).

I dziś, jak przed laty, październikową porą gra przepychem barw jesieni wąwóz Słowackiego, stroma drożyna, jakże ciężka dla ostatniej podróży — wiedzie pod sklepieniem złocistem, prześwietlonem słońcem, między opuszczone mogiłki, nad któremi wiernie trwają jednoramienne i skośnie kreślone, niziutkie i wyniosłe krzyże. Na wyży płaczący wiąz otula grobowiec pani Słowackiej — Becu. Syn — królom równy, gdy po długich latach tułaczki na zew hetmański w przepychu kwiatów, poszumie sztandarów i szablic dźwięku na Wawel — jakże podobną do Tunickiej, pod górę pnącą się drogą na ramionach najpierwszych wojowników, — do ostatniej przystani płynął — najmilej może ramionami ducha, do wciąż gorejącego serca przycisnął grudkę ziemi wołyńskiej z matczynej mogiły...

Od wschodu straż nad Krzemieńcem dzierży Góra Bony, po zachodniej stronie ludnej doliny wznosi się Góra Krzyżowa, do jej zbocza przylega cmentarz Tunicki, a na jego szczycie głaz wielki znaczy miejsce, gdzie utrudzone popioły Beaupre'ego, kolegi Słowackiego, o którego nieraz serdecznie w listach się pyta, wolne spoczęły. Nad bojownikiem bez oręża, niezłamanym przez wygnanie, z którego ośmielił się nieodmienionym powrócić, zawzięcie nieustępliwym i wzywającym naród do czuwania i gotowości — car pośmiertną chciał wywrzeć zemstę i — jakby samobójcy policją zagrodził wejście na poświęconą ziemię. Lecz przyjacielskie ramiona w ciemną noc burzliwą wydźwignęły domowinę na górę, skąd wedle wierzeń ludu — na cały Wołyń mógł patrzeć szeroko i jako znicz wiciowy być nieustannej walki sygnałem.

Niedawno przybył nowy kopiec strażnicy na północnem wzgórzu, gdzie złożono w wspólnej mogile szczątki żołnierzy polskich, poległych na terenie powiatu w ostatniej wojnie, toczonej o niepodległość Polski i jej kresowe granice.

A w Krzemienieckiej dolinie bujnie zakwitło nowe życie. Mają to w swej tradycji ziemie kresowe, że przeszłość jest dla nich żyzną ziemią, z której moc czerpią nowe poczynania z minionemi mocno skute ogniwami krwi i miłości.

Jeszcze huczały działa i ubroczone szable i bagnety w krwawym trudzie wytyczały Rzeczypospolitej granice, a już czujny Włodarz, sam ród swój z nad północnej rubieży wiodący, wydał rozkaz: (27. V. 1920).

»Odrodzona Rzeczpospolita Polska szuka dróg własnych, by wychować nowe pokolenie dzielnych obywateli, którzyby jej wielkość i chwałę szerzyć i utrwalić zdołali. Chcąc drogi te odnaleźć, musi sięgnąć do tradycji wielkich przodków i oprzeć się na powołanych przez nich do życia instytucjach wychowawczych, które ongiś, po politycznym naszej Ojczyzny upadku, zdrowego ducha polskiego zachować umiały.



W tej wielkiej pracy, która do odrodzenia Ojczyzny doprowadziła, niemałą rolę odegrało Liceum Krzemienieckie, stworzone wysiłkiem wiekopomnej pamięci Tadeusza Czackiego i kresowej ludności polskiej. Słynną też uczelnię powołuję niniejszem do nowego życia, by snuła dalej wielką myśl swych założycieli i pełniła w nowych warunkach, z tą samą jednak gorliwością, co przed laty, tę samą służbę na pożytek Ojczyzny, nauki i cnoty. Quod felix faustum fortunatumque sit.

Wódz Naczelny (—) J. Piłsudski«.

Dźwignęły się z ruiny pobazyljańskie i jezuickie mury. Zapełniły się ławy szkolne ćwiczeniówki seminarjum (dziś pedagogjum), gimnazjum. Młodzież metodą Daltona — ale na krzemieniecki sposób odmienionego, uczona — korzystnie się wybijać zaczęła w dalszych akademickich studjach. Tak przybywa Wołyniowi z każdym rokiem zastęp młodej inteligencji, niosącej górnie imię Krzemieńczan, rozmiłowanej w pracy twórczej dla swojej ziemi. A obok niej licealne szkoły zawodowe przygotowują rzemieślników, stolarzy w Smydze, murarzy, ślusarzy w Białokrynicy, rolników, ogrodników, leśników — średnia szkoła w Białokrynicy i przodowników młodzieży wiejskiej w uniwersytetach wiejskich w Michałówce i Rożynie. W lecie ognisko muzyczne od szeregu lat skupia nauczycieli muzyki i pierwszorzędnych wirtuozów. Majątki licealne dostarczają zarodowy materjał hodowlany drobnym rolnikom, gospodarka polowa, łąkowa i leśna na przestrzeni prawie 40.000 ha utrzymuje instytucje licealne i w miarę możności współdziała we wszelkich poczynaniach społecznych Wołynia.

W dniu 11 listopada wyrusza młodzież licealna »na powiat« — po wsiach i miasteczkach organizuje obchody, pełne inscenizacji i pieśni — za cel mając stawianie przed oczy zebranym potęgi i życia całej Polski.

Na wiosnę przybywa do Krzemieńca, lub też z nad Ikwy wyrusza delegacja do Rydzyny, która wychowuje elitę uczniów na zachodnich rubieżach.

Życie społeczne na całych kresach zachodnich płynie silnym nurtem.

Organizacje wszystkie skupiły się w Związku organizacyj społecznych i podzieliły między siebie poszczególne odcinki pracy, tak, że niema kolizji i marnowania sił, a przeciwnie wzmożony efekt. Wyraźnym tego dokumentem jest dom społeczny, który stanął w rekordowym czasie; ma on piękną salę odczytowo-balową i liczne lokale biurowe i miejsca noclegowe.

Bowiem nie zbywa Krzemieńcowi na gościach: przesiadują tu liczni malarze, a ich wystawa pokazała znaczny dorobek artystyczny i tematowy, w pobliskim Kulikowie pod Sokolą Górą rozwija się wspaniale szkoła szybowcowa, w porze zimowej odbywają się wołyńskie mistrzostwa narciarskie, boć tereny tu wspaniałe. Latem niebrak turystów rozmiłowanych i oczarowanych pięknem Miodoborów, Borsukowieckiego stawu, zwanego cudem Wołynia. Przedziwne w swym

empirowym romantyzmie stają stare dworki, zdumiewają swą odrębnością, ogrodzone przemyślną kratką balkoniki, drzemią odwieczne zajazdy, pamiętające czasy, gdy w ich rozwarte odrzwia wjeżdżały bałgulskie w poręcz czwórki ukraińskich zaprzęgów, a powietrze zapełniały dzwonki bałaguły, wieszczące przyjazd paniczów na zapusty.

Piękne i sławne było »wczoraj« nad Ikwą — mocne, twórcze, ciekawe jest »dzisiaj«. Warto się z niem zetknąć bezpośrednio.

Z. z Dłużewskich Kańska.

Pieśń o złej wodzie.

1.

Która jesteś i będziesz — bliska czy daleka —
mej pieśni cię owiewa rozszumiały las.
Poznałem twe oblicze bardziej, niż człowieka,
gdym w tobie się zapalał i za chwilę gasł.
Dnem czystem, dnem piaszczystem,
ramionami błądzę,
rozwieram oczy z trudem i patrzę w twą myśl.
Lecz nigdy nie rozewrą się złote wrzeciądze
i nigdy twojej woli nie potrafię zgryźć.
O głębio pełna stworów i czarna martwotą, —
to z ciebie się wyłonił chwytliwy, zły wir.
Opasać usiłuje ręce chybki otok,
zaprasza nieomylnie wiolinowy świr.

Lecz życie tych zaprosin i przysiąg nie przyjmie,
ramiona pierścień zerwą naoślep, nawprost!...
(Imię, zgubione imię,
za mną, nademną jak most!...)

2.

Śpiewa, szumi woda,
z brzegów się wyrywa,
jest piękna i młoda,
jest stara i siwa.

W białej płachcie dzień
w słońcu się wygrzewa.
Płynie wodą pień
zwalonego drzewa.

Napuchnięty płynie,
obszarpany kadłub...
— Powiedz tej dziewczynie,
żeby cię odgadła!

3.

— Hej, dziewczyno młoda, szczęściem rozśpiewana,
przed mą klęską straszną padnij na kolana!
Nie patrzaj się we mnie, odwróć oczy młode,
bo dziś szuka zguby, kto spogląda w wodę.
Dzień się w niej zapadnie, słońce w niej utonie,
zgasisz w niej swe oczy i gorące dłonie.
Odejdź do swej matki, skryj się za jej szaty —
śmierć jest w wodzie dzisiaj — od śmierci się ratuj!...

4.

Złotemi obręczami śmiech dzwoni po trawie.
Do wierzchu, zachwycona, płynie wodna gawiedź.
Dziwują się złe kraby, w dnie śliskiem żerując.
Obręcze złote nagle w rtęć się rozpryskują.
Śmiech strzela nieomylnie, do dna blaskiem sięga,
a na dnie, w ciemnym dole zguba się wylęga.

5.

Wtem piersi rozpłatały trwożliwie blask fali.
I dłonie zaklaskały. I świat się zapalił!
Zahuczał pożar liści zielony, stuoki,
zszarzały w osłupieniu kredowe obłoki,
Krzyknęły żółte brzegi, zatrzęsły się drzewa,
polała się na ziemię liściasta ulewa.
Miljonem roztrawionym, drżąc, przybiegły chwasty...
— Napróżno, nie pomogło, — i świat w grozie zastygł,
A woda się z dwu brzegów naśmiewa, natrząsa
i sunie posuwiście w wygięciach i pląsach.
Dziewczyna się zatacza, po wirach się błąka,
zła woda ją upaja, woda w nią nasiąka.
Tańczyły, hej szalały złe wiry z dziewczyną,
wypuścić ją nie chciały i słuch o niej zaginął.
Aż kiedyś martwą na brzeg zła woda wyrzuci,
więc niebo się raz wtóry chmurzyście zasmuci,
I słońce rude włosy w boleści pogmatwa
i mroki słoną gorycz przywiozą na tratwach.

6.

W czarnej płachcie noc
próżno czegoś szuka.
Płynie wodą kloc
zwalonego buka.

Napuchnięty płynie,
obszarpany kadłub.
— Mówił coś dziewczynie,
lecz go nie odgadła.

Nie pojęły oczy,
nie pojęły uszy.
Świat się jeno zmroczył
i czernią przyprószył.

7.

— Która jesteś i będziesz — bliska, czy daleka —
mej pieśni cię owiewa r o z g n i e w a n y las.
Zabrałaś nadaremno jednego człowieka!...
Dzień schylił ciężko głowę i nazwsze zgasł.

Wł. Podstawka »I«.

KRZYŚ.

Krzyś ocknął się nagle z głębokiego snu. Przez szparki zaspanych oczu ujrzał nad sobą postać matki.

— Już siódma?

— Tak dziecko.

— Jaka szkoda! — Przeciągnął się z niechęcią i podniósł na łóżku. Matka podała mu mydło i ręcznik. Umył się starannie, uczesał jasne, faliste włosy. Matka poprawiła mu łóżko, strzepnęła poduszki, wygładziła kołdrę i koc. Potem podała śniadanie. Chłopiec jak codzień patrzył na nią z podziwem. Pokój sprzątnięty i w piecu napalone. Teraz matka odnosi do kuchni naczynie po śniadaniu, po chwili niesie stamtąd w serwetce drugie śniadanie i dwa jabłka, zmienia jeszcze wodę w karafce.

— Już chyba wszystko — patrzy uważnie dokoła. Na zegarku jest po pół do ósmej. Spiesznie nakłada palto, kapelusz.

— Dowidzenia, Krzysiu! — całuje go mocno w czoło. Krzyś wie, że to jest najcięższa chwila dla matki: zostawiać go samego na cały dzień. Gładzi ją pieszczotliwie ręką po twarzy.

— Wracaj prędko, mamusiu!

— Zostawiam klucz u pani Gorzewskiej, — powtarza jak codzień. Jeszcze jedno spojrzenie od drzwi, szybkie kroki przez kuchnię, szczęk klucza w zamku i Krzyś zostaje sam.

Przymyka oczy, bo czuje w sobie jeszcze resztki snu, ale już zasnąć nie może.

Jak był na wsi u dziadka, to często jeździł z chłopakami poić konie. Dziadek po-

zwalał jeździć tylko na starym siwku, co to się nigdy nie śpieszył. Siedział sobie taki mały brzdąc na dużym koniu, trzymał się mocno grzywy i pokrzykiwał: wio, wio! A teraz? Już nigdy nie będzie jeździł na koniu. I dziadka już niema, niema nawet tych kilku morgów w Zajezierzu. Ojciec wszystko sprzedał. Chłopcu robi się smutno. Dziaduś, a potem ojciec. Teraz jest z matką sam. A choroba? Niewiadomo, skąd się wzięła. Już dawno zaczęła go noga boleć. Początkowo tak trochę, mógł jeszcze biegać i skakać. Tylko rano, jak chciał wstać z łóżka, trudno mu ją było podnieść. A potem, rok temu, na wiosnę ledwo się mógł posuwać. Matka zawiozła go do szpitala, gdzie go lekarz zbadał i prześwietlił. W szpitalu leżał kilka miesięcy »na wyciągu«. Brr... wzdrygnął się cały. Ciężar przywiązany do nogi, żeby ją wyciągnąć. Dobrze, że to już minęło. Teraz ma nogę w gipsie i musi leżeć. Jest w domu, ale prawie cały dzień sam. Matka wychodzi rano do pracowni, a wraca dopiero wieczorem. Wyjątkowo tylko uda jej się na południe wpaść do domu.

Budzik tykał miarowo. Krzyś poruszył się niespokojnie. Dziewiąta! Trzeba zabrać się do roboty. Miał wszystko pod ręką. Na stoliku lampę, radjo, zegar i potrzebne drobiazgi. Nad łóżkiem półka z książkami. Przysunął sobie stolik, taki specjalnie dla chorych, chwilę mocował się z opornym pulpitem, rozłożył go i nachylił. Chciał zabrać się do odrabiania lekcyj, ale krnąbrne myśli nie chciały go słuchać.

Po skończeniu siedmiu oddziałów miał iść do szkoły zawodowej. Zachorował. O szkole zawodowej nie można już było marzyć. Wtedy ta dobra, jedyna na świecie matka powiedziała, że Krzyś skończy gimnazjum. Omówiła sprawę z panem Sulikowskim, dyrektorem gimnazjum. On sam jeszcze z jednym nauczycielem przyszedł do nich do domu, przepytali Krzysia, a potem pan dyrektor poklepał go lekko dłonią po policzku.

— No, młodzieńcze, jesteś uczniem pierwszej klasy gimnazjalnej. Spodziewam się, że z końcem roku przyjdziesz już sam do naszego gimnazjum zdawać egzamin.

Krzysiowi zabiło serce. W czerwcu napewno będzie chodził! Przypomniał sobie słowa doktora. Tak w czerwcu! Wprawdzie w gipsie jeszcze, ale już będzie chodził.

No i potem matka zajęła się wyszukaniem nauczycielki. Panna Zosia. Jakie to szczęście, że nikt inny tylko panna Zosia! Ma taki słodki, cichy głos i jest taka miła i... taka kochana — dodawał jakby w zawstydzeniu. Myśli o pannie Zosi przypomniały mu naukę. Przejrzał plan: polski, łacina, historja, geografja. Aha, francuskiego niema. Zabrał się solidnie do roboty. Ujarzmione myśli czasem tylko starały się go odciągnąć od lekcji, ale im się nie poddawał. Tak był pochłonięty pracą, że wzdrygnął się cały, gdy usłyszał zgrzyt klucza w zamku.

— Czyżby już panna Zosia? — zaniepokoił się. — Ach nie! Przecież jeszcze nie jadł obiadu.

Weszła pani Gorzewska.

— Dzieńdobry, Krzysiu. Popatrz, co przyniosłam!

Podała mu pęczek kwitnącej łoziny. Przytulił do twarzy chłodne, srebrzyste baźki.

Poczuł delikatny zapach żywych gałązek.

— To na świecie już wiosna? — Czarne, aksamitne oczy zaszły łzami.

— Eee... gdzietam! Przedwiośnie raczej.

— Przedwiośnie, wiosna a potem lato.

— Wiesz, Krzysiu, że ty w tym roku na wieś pojedziesz?

— Tak?

— Do mojego brata. Mówiłyśmy już dawno o tem z twoją matką, a dzisiaj dostałam list od mego brata, że się zgadza. Na wakacje pod Radom! dodała z uśmiechem, ale widząc, że chłopiec przyjmuje tę nowinę obojętnie, zakrzątała się trochę koło niego, włożyła mu baźki do wody i postawiła na stoliku.

— Idę obiad gotować. Będzie dzisiaj zupa grzybowa, mostek cielęcy z marchewką i jak zwykle kompot. Żeby nie te ciężkie czasy, tobym sobie głowy nie zawracała stołownikami! — westchnęła ciężko. — A tobie pewnie przynieść jabłek surowych zamiast kompotu.

Skinął głową. P. Gorzewska wzruszając lekko ramionami, odeszła. Dziwny chłopiec! Nie cieszy się, że pojedzie na wieś.

A tymczasem Krzyś był cały radością. Ta jego cudowna, kochana matka powie-

działa, że pojedzie na wieś. Wakacje na wsi! I już wtedy będzie chodził. Żeby panna Zosia prędzej przyszła! Dopiero pół do jedenastej, no i jeszcze lekcje nieodrobione. Historji już się nauczył, geografji także, tylko łacina i polski.

Na podłodze rozległ się szelest, później głośniejszy tupot malutkich nóżek. To dwie szare myszki goniły się po pokoju. Krzyś chwilę patrzył na ich zabawne harce, a potem ostrożnie sięgnął ręką po śniadanie. Znał dobrze te swoje szare myszki i one dobrze go znały. Ciekawie patrzyły na niego czarne ślepka z podłogi. Zaczął jeść chleb z masłem, rzucając im okruszyny. To dziwne! Właściwie myszy niema w mieszkaniu, tylko te dwie niewiadomo skąd się wzięły. Matka trochę niezadowolona, że karmi je codziennie. Mówi, że się rozmnożą. Matka! Gładkie czoło chłopca przecina pionowa zmarszczka.

— Tak o wszystkiem pamięta, tak na wszystko ma czas. I już teraz w marcu myśli o tem, żeby go na wakacje wysłać na wieś. Jest bardzo gospodarna i oszczędna, bo przecież ta jej pensja na tyle rzeczy wystarcza. I radjo, i doktor, i lekcje i tyle innych rzeczy! Zarabia wprawdzie nieźle, jak na dzisiejsze czasy, ale też przecież jest prawie samodzielną kierowniczką pracowni krawieckiej. Właścicielka ze wszystkiem opuszcza się na matkę. — Pani Stefanjo, niech pani sama rozstrzygnie, pani ma taki dobry gust. Klientka napewno będzie zadowolona. Pani Stefanjo, wyjeżdżam na tydzień, pani mnie zastąpi. — I tak powoli matka przejęła na siebie prawie wszystko. Ma przez to dużo pracy, ale jest zadowolona.

Jabłka chrupią w zębach Krzysia. Po skończonem śniadaniu chłopiec bierze się spowrotem do lekcji. Łaciny nie lubi, ale ponieważ panna Zosia jest entuzjastką łaciny, cierpliwie uczy się słówek i odmian gramatycznych. W łacinie najprzyjemniejsze jest tłumaczenie. Nie, najprzyjemniejsza jest pochwała panny Zosi.

Naostatek polski, najmilszy przedmiot. Wypracowanie na podstawie książek Haliny Górskiej: »Nad Czarną Wodą« i »Chłopcy z ulic miasta«. Myśli tłoczą się, niepokojące, nowe, obudzone słowami przeczytanych książek. Pan Piotruś, najukochańszy pan na świetlicy chłopców we Lwowie. Żaden z nich nie chciałby mu zrobić przykrości, a tymczasem... Krzyś widzi tłum ludzi na ulicy, krzyk, hałas. Jedni z rozpłomienionymi twarzami pędzą i wywijają laskami. Pod murami przesuwają się lękliwe, przygarbione cienie. Grzbietów ich dopadają laski. Rozlega się krzyk katowanego człowieka. Wśród tłumu uwijają się kilkunastoletni chłopcy gazeciarze. Z dumą obnoszą swoje zielone wstążeczki. A tam w mieszkaniu pan Piotruś. Znieważono, sponiewierano jego człowieczeństwo dlatego tylko, że jest Żydem. Albo Cygan... wrażliwy Krzyś czuje całą krzywdę tego biednego chłopca.

Tak, teraz już wie, jak pisać. Jeszcze przypomina sobie, jak to bywało w szkole.

Dokuczano biednym, małym Żydkom. I za co? On sam nieraz... Wstyd!

Pióro szybko, szybko przesuwa się po papierze. Jedna, druga i trzecia strona zeszytu. Lekcje odrobione. Krzyś odkłada książki i zmęczony kładzie się wygodnie na poduszki. Książka do czytania. Aha, »Namioty Wezyra« Przyborowskiego. Historja — to prawie same wojny. Dlaczego? Wojna — to straszna rzecz! Krzyś czuje całą grozę tego słowa. Może dawniej wojna nie była taka okropna. U Sienkiewicza są śliczne opisy bitew. Ale bitwa naprawdę! Przypomina sobie film z wojny światowej, opowiedziany przez pannę Zosię: Burza nad światem. Warkot samolotów, huk pękających bomb i kul armatnich nieustanna palba karabinowa, szczęk pełzających tanków i wszędzie trupy, trupy, trupy. Och, piekło! A jeszcze gazy trujące.

Twarz chłopca kurczy się w bolesnym grymasie.

I pomyśleć, że taka wojna toczy się w Abisynji, i taka sama wojna — w Chinach. Kto ma prawo wdzierać się do cudzego państwa? I świat nic! Sankcje. Tak, ale to mało, mało! Toby trzeba krzyczeć, żeby cały świat słyszał, żeby cały świat wiedział, że nie wolno, że nikomu nie wolno, że drugi człowiek — to nie wróg, ale brat. Ludzie-bracia, równość i wolność, niema krzywd, nie powinno być krzywd! — plączą się obrazy, myśli i słowa ciężko, straszliwie ciężko!

— Krzysiu, a tobie co? — popatrzyły na panią Gorzewską oczy ogromne, czarne, napół przytomne, z wyrazem męki i bezgranicznego zdumienia.

Dopiero po długiej chwili przyszedł do siebie. Uśmiechnął się niepewnie, z zażenowaniem.

— Nic, tylko się tak zamyśliłem.

— Za dużo jesteś sam i za dużo myślisz. Masz, zjedz dobry obiad! — podsunęła mu talerz z zupą. Przyjemny zapach grzybów przypomniał chłopcu o głodzie. Zjadł szybko zupę, a potem zabrał się do mięsa. Nagle przypomniał sobie wieś.

— Proszę pani, a jak się nazywa ta wieś?

Pani Gorzewska uśmiecha się zdziwiona.

— Antoniówka.

— Czy tam ładnie?

— Piaski i bory sosnowe, ale w lecie bardzo przyjemnie. Żeby tylko lato słoneczne, bo dla ciebie najważniejsze słońce.

— A mamusia?

— Mamusia przyjedzie tam także na swój miesięczny urlop.

— Ach, ta matka, że też mu nic nie powiedziała!

Po obiedzie usiłuje czytać książkę, ale niewiele z niej rozumie, ponieważ oczy jego i myśli wybiegają na spotkanie panny Zosi.

Przychodzi wreszcie zdyszana, zmęczona. Krzyś patrzy na jej przygasłą twarz i żal mu jej bardzo. Zosia ma ciężkie życie. Jest nauczycielką w szkole powszechnej, ale ponieważ pomaga młodszemu rodzeństwu do kształcenia się, daje jeszcze prywatne lekcje. Cały dzień zajęty, bez chwili wytchnienia, a nocą przygotowanie lekcyj do szkoły.

— Zaczynamy Krzysiu!

Nauka odbywa się tak, jak w szkole. Najpierw przepytanie z zadanej lekcji, a potem panna Zosia objaśnia coś nowego. Po każdym przedmiocie są pauzy.

Przez okno wpadają promienie słońca. Krzyś patrzy na wesołe plamy na podłodze. Panna Zosia podczas pauzy otwiera okno i zostawia otwarte nawet przez godzinę. Krzyś na sekundę przymyka oczy i wciąga głęboko świeże powietrze.

— Wie pani, pojadę na wieś — opowiedział jej nowinę. Ucieszyła się bardzo, ale zauważył, że twarz jej dziwnie zmierzchła.

— Pani także chciałaby na lato pojechać na wieś?

Skinęła głową, ale ruchem jakimś beznadziejnym. Pomyślała pewnie, że na wieś nie pojedzie, bo pojechać nie może. Zrobiło mu się przykro, ale zaraz postanowił, że oboje z matką tak urządzą, aby panna Zosia pojechała z nimi choćby na miesiąc. Matka na to poradzi.

Lekcje minęły tak szybko, aż chłopak się zdumiał. Chwila po lekcjach była najprzyjemniejsza. Panna Zosia ożywiała się, opowiadając nowiny dnia. Patrzył na jej bladą, delikatną twarz. Jakie ładne ma oczy! Nieraz miałby ochotę jej to powiedzieć, ale nie śmiał. A panna Zosia nic o tem nie wie, że jest ładna. Do matki raz powiedziała, że jest brzydka i stara. Stara? Jeszcze nie nie ma przecież trzydziestu lat.

— O czem tak myślisz, Krzysiu?

Zaczerwienił się.

— Dzisiaj był ładny dzień? — zapytał, byle coś powiedzieć.

— Śliczny! Wiesz, Krzysiu, wiosna idzie. — Zamyśliła się. Na jej wargach osiadł delikatny, ledwo widoczny, radosny uśmiech. Krzyś poczuł w sobie nagły ból.

Długo leżał wpatrzony w przestrzeń przed sobą. Za oknem zapadał zmierzch. Pokój tonął w szarości, nabierając tajemniczego wyglądu. Gdy już kontury mebli ledwo były widoczne, chłopak zapalił lampę elektryczną na stoliku. Z półeczki, z dobrze znanego miejsca wyjął gruby zeszyt. Tam w tajemnicy przed wszystkimi spisywał dzień po dniu swoje przeżycia. Przejrzał kartki zapisane dnia wczorajszego, potem napisał datę i zamyślił się.

— Piszę dziennik, jak pensjonarka — zadrwił z siebie.

— No to co? Słowacki także pisał pamiętnik.

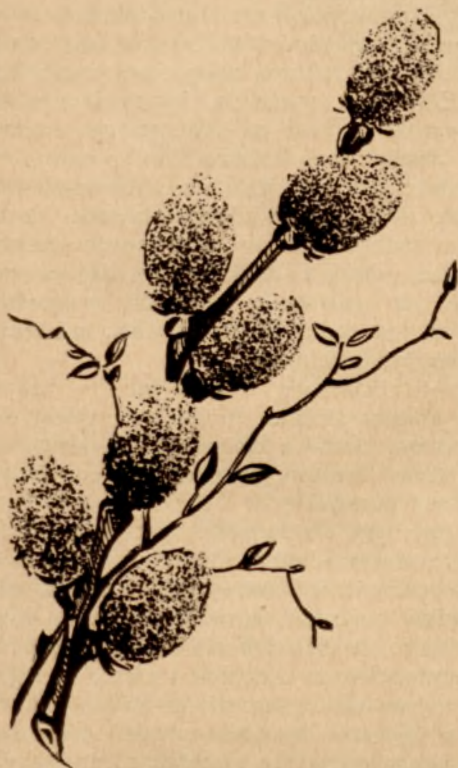
Trzeba zapisać o Halinie Górskiej, to jest o Żydach, o wojnie i jeszcze... Nie pisał jednak. Upływały chwile, a on z piórem w ręce, ze skupioną twarzą, jakby czekał na coś. Potem wolno, napół świadomie napisał:

Budzi się dusza z uśpienia,
za serce chwyta żal.
Tęskniące ślę spojrzenia
w nieprzeniknioną dal.

Zatrzymał się. Napisał wiersz, a więc będzie poetą. Teraz już wie. I jako poeta musi udoskonalić świat. Żeby nie było wojny, żeby nie było nienawiści, tylko miłość! Żeby na świecie było szczęście! Żeby nie było nędzy!

Z głębokiem przekonaniem zaczął dalej pisać swój pierwszy wiersz.

Jadwiga Bilwin.



Bazie.

Bazie srebrzyste, śliczne bazie!
jesteście świeże tak jak wiosna,
co nam uśmiechy rzuca w darze
rozsłoneczniona i radosna.
Owiane wiatrów ciepłem tchnieniem,
srebrzystopuche bazie lśniące,
przestrzenią pól z wiosną zoranych,
przestrzenią łąk, lasów pachnące.
Promienie słońca ciepłe, złote,
łezki rosy z was zcałowały,
Królewny Wiosny drobne rączki
miłośnie główki wam głaskały.
O aksamitne!.. śliczne bazie,
W gałązkach sosny utulone,
leżycie w koszu u kwieciarki,
rozgwarem miasta przerażone.
I nic nie wiecie bażki małe,
że w sercach szarych smutnych ludzi
wasz czar i urok cudnej wiosny
tęsknotę wielką, dziwną budzi.
Rzucacie w dusze radość wiosny,
uśmiechy wraz z szczęścia nadzieją —
dlatego do was bażki srebrne
serca i oczy mu się śmieją.

K. Korewicka.

REJ I JEGO WSPÓŁCZEŚNI.

Wielki był zjazd szlachty-braci. Z całej ziemi małopolskiej zjechało się ich coniemiara. Był tam Imć pan Rej z Nagłowic, sławny ze swego dzieła, zwanego »Zwierciadłem«, lub »Kształtem, w którym każdy stan może się snadnie swym sprawom, jako we zwierciadle przypatrzyć« i z »Figlików«, które mu zjednały mir między bracią-szlachtą.

Był i Imć pan Orzechowski, znany publicysta, skazany swego czasu na banicję za sprzeciwianie się prawom kościelnym. Grupie szlachty przewodził Imć pan starosta tykociński, Łukasz Górnicki, rozprawiając z nimi żywo o obyczajach włoskich, jako o najgodniejszych naśladowania. Nie brakło też Imć pana Andrzeja Frycza Modrzewskiego. Ku temu szlachta nie żywiła afektu, gdyż prawił o równości, której zgoła pojąć nie mogli.

Imć pan Rej, słysząc o Imć panu Górnickim, jako o mówcy wielkim, chociaż starszy wiekiem, z prostej ciekawości udał się do gospody »Pod Kogutkiem«, gdzie miał rezydować starosta tykociński, by posłuchać nowinek świeżo z Włoch przez Imć pana Łukasza przywiezionych. Orzechowski, widząc zacną kompanję, siedzącą przy miodku,

przysiadł się, by posłuchać ciekawych nowinek. Imć pan Rej, stateczna persona, pociągnął miodku dla dodania sobie animuszu i rzekł głośno; — »Toć to hańba, Mosterdzieju, Jegomość zdzira nędznego chłopa i za dziesięcinę obiecuje mu zbawienie, nie wstyd toż narodowi naszemu, że ma takich między sobą?!« — »Słuszną racyją przyznaję Waszmość panu, ale muszę napomknąć, że nie wszytcy duchowni są jako ten, o którym Waszmość pan prawił« — ozwał się składnie Imć pan Orzechowski. Imć p. Frycz Modrzewski, słysząc dyskusją na temat dla niego ciekawy, przysiadł się do stołu, by zabrać głos w tej zajmującej, acz nieco drażliwej materji. »Ego reor, że dobrą byłoby rzeczą utworzenie kościoła narodowego, jakby była jedna w naszej Rzeczpospolitej wiara, to i snadniej zgoda zapanowałaby w kraju«. — »Zacne to słowa — rzecze Orzechowski — zawżdy lepiej by było, gdyby jedna wszędy w Polszcze wiara była. Bo to ile sekt rozmnożyło się w kraju na obrazę P. Jezu-Krista, trudno nawet wymiarkować. Papieżnikowie chcą mieć króla papieżnika, ewanielikowie chcą mieć gwałtem króla ewanielika, i stąd ta niezgoda, co do przepaści wtrąca miłą Rzeczpospolitą. Jeśli naród nie okaże poprawy, a nie ustatkuje się, zginiemy jak amen w pacierzu«. Na toż ozwie się znowu Modrzewski — »By wyratować miłą Rzeczpospolitą z tak ciężkiej opresji, primo musimy zacząć po krześcijańsku wychowywać pacholęta, do zborów je świętych wodzić na kazania, a ukazować im Chystusa. Secundo, trzeba naukami ich umysły kształtować, boć bez mądrości człowiek nie będzie cnotliwy«.

— »Ano ja suponuję — rzecze Rej — że nie można dzieci w zbytniej grozie chować, boć potem strachliwe, a srodze nieśmiałe będą a co do kształcenia to uważam, iż bardzo dobrze jest, by młódź nasza, gwoli pobierania nauk zagranicą czas swój pędziła«, — — »Słusznie to waszmość osądził — zauważył Górnicki. — We Włoszech in exemplum wiela mądrych i pożytecznych rzeczy dowiedzieć się można, wiele obyczajów nadobnych do miłej Ojczyzny przywieźć, a potem na dworze pańskim poklask za to otrzymać«.

»Daj waść pokój z temi postronnemi krajami — przerwie Modrzewski — nie lepiej to coś poradzić nad reformą miłej Rzeczypospolitej.

Ergo dola wieśniaka. Jak to być może, że wyroki sądowe od szlachetnego urodzenia zależą. Mężobójstwo kto popełni, to szlachcic grzywnę jeno da, a chłop-niebożę głowę złoży. Bracia-szlachta kmiotka za sąsiada miłego, jako w postronnych krajach uważać winni i mieszczanom dać zezwolenie na nabywanie wszelkich majętności, bo jak jest jedna Rzeczpospolita, to i jedno prawo być powinno«.

— »Protestuję dobrodzieje — huknie Rej stukając śklenicą — bychmy, którzy dotąd mamy prawa z królem równe, mieli teraz te same zawżdy przywileje, co ludzie prostego stanu«.

Imć pan Modrzewski niezrażony gniewnym afektem Imć p. Reja, ciągnie dalej. — »Niedość różnic stanowych, szlachta nie chce urzędów piastować, stroni od nich, nie pomnąc na to, że człowiek nie narodził się sobie, ale przyjaciołom, Ojczyźnie i wierze ku Bogu. Skoro wszytkie wszystkich ludzi miłoście jedna Ojczyzna w sobie zamyka, tedyć onę nad wszystko trzeba przekładać i wszytkie prace dla niej mężnie i śmiele podejmować«.

Imć p. Rej, stawiając cynowy dzban na stole, spokojniejszym już głosem rzecze, — »Co do urzędów ja mam insze zdanie, dla mnie jedyny urząd vere dignus nobilitatis jest urząd poselski...

Modrzewski, Orzechowski i Górnicki »Czołem panie bracie«.

X. uczenica jednego z gimn. w Polsce.

Zdaje mi się, że już wiosna blisko,
Choć wokoło śnieg dmie zawieruchą —
Rządzi zima swą martwotą głuchą,
Czarne chmury pełzną ciężko, nisko,
Lecz w powietrzu czuć już tchnienie wiosny!..

Drżą okowy na rzekach lodowe,
I już bazie srebrzą się wierzbowe,
Choć nie dzwoni ptaków świr radosny...
Już jest blisko, już blisko do wiosny!...

Hechtówna z kl. I. gimn.
we Włocławku.

EXPRES.

Czarna noc
Szyny dwie
Zdaleka stuk
expres mknie
Krótki świst
Świateł rząd
iskier snop
dymu swąd
pęd i rytm
świst i huk



zwrotnik kół
głośny stuk
Expres znikł
w dali mknie
został dym
szyny dwie
czarna noc
iskier skry
cisza, i
widzu... ty...

K. Korewicka.

Lekcja pokazowa.

Dzwonek! w klasie panuje specyficzny nastrój, właściwy każdemu »ważnemu« wypadkowi. Siedzimy zduszone jak śledzie w beczce w pierwszych ławkach, bo najbezpieczniejsze miejsca na końcu klasy trzeba było zostawić dla grona! i... trzęsiemy się ze... oczywiście tylko z przejęcia... naturalnie! (zresztą w »takich« chwilach i to usprawiedliwione!)

Część koleżanek żegna się inne, bardziej »moderne« na gwałt wertują teksty, a wszystkie »dobre« uczennice wspaniałomyślnie obiecują dobremu Aniołowi Stróżowi, przygotowywać się uczciwie przez cały tydzień (ale dopiero następny), jak »wszystko« pójdzie dobrze! to »wszystko« ma bardzo szerokie znaczenie, niewiadomo czy wogóle przeciętny umysł nieuczniowski potrafi to pojąć i zgłębić.

Wchodzą powoli, z godnym majestatem sędziów, osoby z grona naucz., które teraz nabierają specjalnie »ważnego« charakteru!

Ha! czujemy się jak skazańce przed sądem! robi się nam całkiem niewyraźnie na sercu pod wpływem spojrzeń.

Właściwie poco te lekcje pokazowe? — za czasów naszych babek o tem nikt nie myślał i było dobrze! no ale stało się! przepadło! nic nie pomoże nasze mruczenie i szemranie, musimy się poddać rozporządzeniom naszej władzy szkolnej.

Zamyka pochód, jak zwykle w każdym calu »gentelmen« prof. łaciny. — Boże! w tej chwili uświadamiam sobie ze zgrozą, że następna lekcja to właśnie łacina, a ja z nadmiaru wzruszeń wogóle się nie przygotowałam, co to będzie? niema co liczyć na szczęśliwe »niezauważenie« jak się siedzi w pierwszej ławce, prosto nosa profesora i ma się do tego nieszczęśliwy zwyczaj czerwienienia się zbyle czego!

Te i innego jeszcze rodzaju myśli odbierają mi moje nędzne resztki odwagi.

— No zaczynamy! Siostra, jak derygent orkiestry, daje znak i zadaje pierwsze, wstępne pytanie, takie aby nikogo nie zasypać! — tymczasem, co to? bunt? (ale nie gigantów!) Siostra wodzi swemi dobremi oczyma po klasie i... spotyka się z bazyliszkowemi spojrzeniami, które zdają się mówić: »tylko nie ja«! a nawet wręcz: »nie rusz mnie«! no, ale ktoś przecie musi zacząć — i oczywiście zaczęło się.

Spocżątku jakoś wszystkie zgadzamy się ze sobą idealnie, a Siostra ma bardzo niewyraźną minę, bo to objaw całkiem nienormalny w naszej klasie, taka zgoda! nareszcie któraś osądziwszy, że ostatecznie lekcja pokazowa to nic wielkiego, zaczyna swoje

»contra« wszystkim. I byłoby może wszystko poszło dobrze (gościeby się ubawili, takie urozmaicenie wpłynęłoby cudownie na ich humory), gdyby przypadkiem owa odważna osoba nie spojrzała tak trochę w bok, a jeszcze bardziej w tył i nie zobaczyła bardzo nieokreślonej miny »fachowej« osoby, zrobiło się jej gorąco, nabrała wątpliwości do swoich dowodów i zaczęła stopniowo zmieniać tak »nieprzekonaną« tezę! tak już jest w życiu! Trudno.

Wreszcie tak jak się zaczęło — tak się i skończyło i poszło wcale... wcale! A po całej tej lekcji pozostały wypieki na twarzy, gdzie niegdzie odezwało się westchnienie ulgi! Tu znów zapalczywe twierdzenie: »mogło pójść daleko lepiej«! Pewnie, że mogło było, gdyby było!... gorzej, że pozostała świadomość tych wszystkich niedorzeczności, które się powiedziało w zapale i które teraz z bezpiecznej odległości urastają do ogromnych wydarzeń — a było pewnie kroplą w morzu! Zresztą tkwi w mej świadomości uparte przekonanie niezbyt przyjemne, że wszyscy całkiem poprostu uśmiali się serdecznie z naszych »wicherkowatych« przekonań!

W każdym razie dobrze, że już się skończyło! prawda? *Heli*

Lwów, gimn. 643.

Przeszło 4 1/2 miljona.

Konstytucja polska gwarantuje naukę wszystkim swoim obywatelom. Jesteśmy jednak, niestety, państwem na dorobku i wiele najlepszych, najmędrszych planów musimy prowadzić stopniowo.

Ale sieć szkół jest coraz gęstsza i coraz trudniej przez jej oka prześlizgnąć się tym, którzy chcieliby przymus szkolny ominąć!

To też obrazek dzieci bawiących się w rynsztokach na ulicach miast i miasteczek, jest coraz rzadszy, a coraz częstszy stał się obrazek inny: dzieci, spieszące do szkoły z książkami pod pachą.

To, co Polska zrobiła w ciągu lat piętnastu dla oświaty, uwidoczniłoby się najlepiej przez porównanie z rokiem 1918. Były to jednak czasy gorące — wojna ukraińska, powstanie śląskie, wojna bolszewicka — i dokładnych danych z pierwszych lat odrodzonego szkolnictwa polskiego nie posiadamy. Muszą nam wystarczyć cyfry dzisiejsze!

Według nowej ustawy szkolnej obowiązującej od września roku ubiegłego, podstawą nauczania są szkoły powszechne. Szkół takich mamy 26.539, a uczęszcza do nich 3,943.729 dzieci, pod kierunkiem 74.429 nauczycieli.

Szkół ogólnokształcących, czyli tak zwanych obecnie gimnazjów, było w roku 1932 (wszystkie nasze cyfry pochodzą z tego roku) aż 743, a uczyło się w nich 204.992 chłopców i dziewcząt.

Szkół zawodowych (i specjalnych) było w Polsce około 1000 a kształciło się w nich 118.115 dziewcząt i chłopców na nauczycieli i nauczycielki, na ochroniarki, rolników, pielęgniarki, ogrodników, na wykwalifikowanych rzemieślników — jednem słowem na ludzi, którzy wejdą w życie z fachem w ręce.

Taka organizacja szkolnictwa daje każdemu możność posiąść wykształcenie elementarne, a potem dokształcić się, zależnie od zdolności, zamiłowań, czy środków pieniężnych.

Zanim przejdziemy do szkół wyższych, zejdźmy na sam dół drabiny szkolnej, do przedszkoli. Jest ich w Polsce 2,398, a powinno być o wiele, wiele więcej! Przedszkola przecież zbierają cały ów drobiazg ludzki, który tak bardzo potrzebuje opieki, a jest jej pozbawiony w rodzinach, w których matki muszą pracować zarobkowo. W roku ubiegłym 101.673 maleństw znalazło w przedszkolach opiekę, pomoc lekarską i ciepłą strawę, która nieraz stanowiła jedyne ich pożywienie!

A teraz znowu na samą górę drabiny, do szkół wyższych.

Jest ich w Polsce 22, z tych 13 prywatnych. Do szkół tych zaliczamy: 6 uniwersytetów, 2 politechniki, 4 wyższe szkoły

handlowe (jedna dla handlu zagran.), 2 szkoły (akademje) Sztuk pięknych, 1 akademja górnicza, 1 akademja weterynaryjna, 1 wyższa szkoła rolnicza, 1 państwowy Inst. dentystyczny, 1 szkoła nauk politycznych, 1 szkoła dziennikarska, 1 Wolna Wszechnica w Warszawie i Oddział jej w Łodzi.

Z tych szkół wyższych niektóre, jak Uniwersytet Jagielloński w Krakowie i Jana Kazimierza we Lwowie, są bardzo stare, przetrwały lata niewoli i zapisały się chlubnie w historji kultury polskiej. Uniwersytet Stefana Batorego w Wilnie, również stary i zasłużony, został po wskrzeszeniu Polski na nowo powołany do życia, Uniwersytety Poznański i Lubelski (prywatny) zostały założone już po odzyskaniu niepodległości.

Do szkół wyższych uczęszczało w r. 1932 na wszystkie wydziały 48.155 słuchaczek i słuchaczy. Zaznaczyć tu musimy, że tylko Akademja Górnicza w Krakowie nie przyjmuje kobiet.

Oprócz tych szkół dla młodzieży istnieje na ziemiach polskich 70 szkół dla upośledzonych, gdzie pobierają nauki dzieci niedorozwinięte, ślepe, głuchonieme.

Razem z temi upośledzonemi i z dziećmi, uczącemi się w szkołach ćwiczeń przy seminarjach nauczycielskich, ilość uczącej się młodzieży zaokrąglić można do 4 i pół miljona.

M. S. S.



Dziedziniec wewnętrzny u wejścia do Ministerstwa Oświaty.

BALLADA O LUBLINIE

A kiedy przyjdziesz w moje strony,
porankiem jasnym patrz przed siebie:
bujnych pagórków las zielony
i zbożne ciągną się wygony
i rzeka błyszczy niebem.
Z błękitów i zieleni
cicho wyrasta
kształt biały i czerwony
mojego miasta.
A w mojem mieście same dziwy:
wąskie i szare kamienice
gwarzą coś z cicha:
»Sam Sobieski
stał u mnie wielce urodziwy«.
Stary trybunał ciężko wzdycha:
»Jan umarł dawno«,
Przez ulice
jakieś postacie suną znane:
Żeromski zamyślony,
Wieniawski męski,
Prus zawsze uśmiechnięty.
Jagiełło uzbrojony,
dumny, zwycięski.
»Królu, czy można zrobić zdjęcie?«
— pyta z przejęciem mistrz-fotograf,
A pensjonarka z warkoczykiem
potrząsa swoim albumikiem:
»Proszę o autograf«.

Janina Unkiewicz.

Na trasie.

— 3 sekundy, dwie, jedna... start!

— Mocne odepchnięcie się kijkami... i stolik sędziowski zostaje w tyle.

Pogoda jest cudna. Oślepiająca biel śniegu kłuje w oczy.

— Szkoda, że nie wzięłam okularów.

— Przede mną pierwszy zjazd.

— Szusuję w dół. Uwaga, bo rów! Lekko uginam kolana. Już po strachu, rów został zdobyty. Zielone chorągiewki znaczą trasę, wspinają się teraz na górę.

Wdali widnieje ciemna sylwetka narciarza, na której jasną plamą odbija się numer zawodnika. Oglądam się, następny zawodnik wypuszczony 2 minuty po mnie, zjeżdża już z góry do rowu. Oby mnie tylko nie minął. Przyśpieszam kroku. Silniej opieram się na kijach. Upał się zwiększa.

Teraz nasyp kolejowy. Z nasypu długi zjazd w zaciszny wąwóz. Na nieskazitelnej bieli odznaczają się tylko zielone i czerwone chorągiewki. — Znowu strome zbocze. Śnieg śliski i narty ciągnie do dołu. Wchodzę choinką.

Dwudziestka już wjeżdża do wąwozu. Teraz mam do przebycia długie pole pokryte kopnym śniegiem. Wązki ślad świadczy, że już kilku zawodników przejechało tędy.

Najbardziej namęczył się pierwszy, bo musiał przecierać ślad.

Śnieg niesie doskonale. Równym trójkowym krokiem przebiegam pole. Tu chorągiewki się schodzą. Czerwone biegną dalej, a zielone zbiegają w dół. Zjeżdżam więc znowu w długi wąwóz.

Dziwne, nie mogę o niczem innem myśleć, jak o stoliku sędziowskim, do którego mam jeszcze 8 kilometrów. Raptem fałszywy krok, — rozłożyłam się jak długa w poprzek szosy!

— »Tor wolny!« — woła dwudziestka nielitościwie mijając mnie. Byłam wściekła, a tu na dobitek narta gdzieś się podziała. Okazuje się, że zjechała sobie beze mnie. Musiałam tedy mimowolnie zjeżdżać na jednej narcie. Pewno straciłam co najmniej 3 minuty.

Raz dwa zapięłam nartę, i ze zdwojoną energją pędzę dalej. Dwudziestka wyprzedziła mnie o dobre kilkanaście metrów.

— Wezmę ją! — pomyślałam sobie.

Zaciskam zęby i pędem wbiegam na górę.

Z całą satysfakcją krzyczę — tor wolny! Dwudziestka chcąc nie chcąc musi się usunąć, — już takie jest prawo narciarskie.

Zdaleka widnieją słupy telegraficzne na szosie.

Czeka mnie teraz najgorszy kawałek drogi. W tem miejscu śnieg był zupełnie zwiany i paskudna bronzowa glina, bynajmniej niezachęcająco wyglądała i troskliwie pochłaniała resztki śniegu. Śmiało wstępuję na nią.

Mimowoli przypomniała mi się piosenka: »Z kamienia na kamień«.

Przeprawa była ciężka. Co innego jest skakać na nogach, a co innego na nartach. Drżałam o całość mego smaru.

— Na czem będę jechała po śniegu? — myślę z przerażeniem.

Nareszcie szosa. Tu zato zaspy śnieżne piętrzyły się, jedna za drugą niczem Alpy.

— Na płacz mi się zbierało.

— Glina na nartach zupełnie hamowała jazdę, — a dwudziestka już jest niepokojąco blisko. Jak zbawienie wyrasta przedemną pień ściętego drzewa. Dwa mocne pociągnięcia nartą, i góry gliny ze śniegiem zostają za mną.

— Odetchnęłam z ulgą.

— Oglądam się. Widzę jak dwudziestka siłuje się ze swemi nartami, które widocznie też nie chcą nieść.

— Uśmiecham się z triumfem. Teraz mnie już nie weźmie. Śnieg dziwnie mi zciemniał, serce podchodzi pod gardło.

— Oj, źle — myślę, ale kroku nie zwalniam.

— Zakręcam na koszary.

— Wiatr prosto w twarz, tamuje oddech.

— Znowu narta! — Tym razem poczułam odrazu, że mi spada, więc nie straciłam dużo czasu. Pędzę dalej. Coraz bardziej zbliżam się do ośmnastki, a niedaleko przed nią biegnie czternastka. — Muszę je wziąć!

— Do mety mam jeszcze 2 km.

— Zmęczenie rośnie.

— Pot zalewa mi oczy, wiatr wyciska łzy.

— Znowu chorągiewki zielone zbiegły się z czerwonemi. Zawodników na torze przybywa. Oglądam się. Z przerażeniem widzę, że zbliża się dwudziesty trzeci. Napewno mnie weźmie — myślę — bo jeżeli już przegonił dwudziestkę. Wytężam wszystkie siły. Mięśnie rąk nieznośnie mnie bolą.

— Tor wolny! — krzyczę do osiemnastki.

Przejeżdżam obok, lecz nie mogę się zdobyć nawet na uśmiech.

— Jeszcze trochę, jeszcze trochę! Mówię sobie.

Oby tylko nie upaść, bo z pewnością nie wstanę. Tuż za sobą słyszę szuranie nart i głośne sapanie zawodnika. Ale jeszcze nie krzyczy.

Nie dam się! — Włażę prawie na pięty czternastce.

Mijam.

Ostatni pochód. Zdaleka widać tłum.

To publiczność otaczająca stolik sędziowski.

Finiszuję!

Tłum dopinguje.

— Wysilam się na uśmiech.

— Brawo!...

— Minęłam stolik — koniec.

— Następuje odprężenie. Ktoś mi odpina narty, ktoś zdejmuje numer. Podbiega porucznik. »Świetnie, niech się pani trzyma, doskonały czas«.

Koleżanki otaczają mnie.

— »Świetnie Ata, doskonale« !«

Jestem bardzo zadowolona.

Siadam na jakiemś krześle. Jest mi strasznie gorąco.

12 km. to jednak nie byle co.

Jak długo siedziałam? Nie wiem. — Ktoś coś domnie mówi, ściska rękę.

Koleżanki prowadzą mnie do domu.

Narty też znalazły sobie tymczasowego opiekuna.

Na drugi dzień czytam wyniki biegów.

Odznakę P. Z. N. zdobyła Beata Kelles-Krauze, przebywszy trasę 12 km. osiągając czas 56 m. 50 sek.

Beata Kelles-Krauze. Gimn. 523.

PIEŚŃ.

Pieśni ma! pieśni owalna!
Czy wiesz czem jesteś —
złowroga?
Zagarniasz wszystko do swego łona:
Szatana i Boga!
Wirujesz po niebie, zmiatasz błękity. —
Do piekła też zajrzeć trzeba,
by poznać mękę,
gdy braknie chleba.
Chleba na dzisiaj —
tej łaski powszedniej
do walki, do życia
w drodze do nieba.

»I«

Kopalnia i praca górnika.

Ślady górnictwa spotykamy jeszcze w czasach przedhistorycznych. W Polsce górnictwo istnieje od początków XI wieku. Od tego też okresu możemy rozwój jego śledzić u nas dokładnie. Górnictwo węglowe, które rozpoczęło się rozwijać na dobre od połowy XVIII wieku, jest dziś najbardziej rozpowszechnione i można je uważać za przykład typowy, tembardziej, że w innych kopalniach stosuje się prawie te same urządzenia co w kopalniach węgla.

Jeszcze nie tak dawno, wydzieranie ziemi jej skarbów, odbywało się bardzo prymitywnie. Kilof, młotek i dwie silne ręce oto wszystko, co człowiek posiadał, idąc na podbój podziemi. Dziś się wiele zmieniło; człowiek do walki z naturą uposażony jest o wiele lepiej niż dawniej. Dzisiejsza kopalnia, to jedna olbrzymia maszyna — wielkie dzieło mózgu ludzkiego. Dziś ręce w górnictwie są właściwie potrzebne tylko do obsługi tej machiny i do sortowania wydobytego minerału. Właściwa praca górnika ogranicza się do miejsc, gdzie urabia się węgiel, czyli do t. zw. przodków odbudowy. Obejmuje ona prócz pracy, związanej ściśle z samem urabianiem, także zabezpieczenie przodka przed zawaleniem się mas skalnych. Ta część pracy, mało się zmieniła w ciągu wieków. Górnik musi ustawić rodzaj rusztowania z belek drewnianych, stawianych pionowo i powiązanych belkami układanemi poziomo. Belki pionowe zowią się stemplami, belki poziome kapami.

Wszystkie kopalnie są w technicznem założeniu, mniejwięcej dla wszystkich rodzaji minerałów jednakowe. Do wnętrza ziemi prowadzi prostopadła, mocno obmurowana studnia, t. zw. szyb wyciągowy, jest to główna arterja komunikacyjna kopalni, przez którą kursują do góry i w dół klatki zjazdowe z górnikami i szale z ładunkiem. Ciągnie je na stalowej linie maszyna wyciągowa, ustawiona na powierzchni ziemi. Nad szybem wyciągowym wznosi się również na powierzchni ziemi budynek szybowy, t. zw. nadszybie, komunikujące się z sortownią i z ładownią wydobytego materjału. Materjał nieużytkowy, jak np. kamienie wydobyte wraz z węglem, wysypuje się na zwał (hałdę). Przez szyb wyciągowy prowadzi też rurociąg, którym pompy wyciągają wodę kopalnianą z dolnych pokładów.

Równolegle do szybu wyciągowego, wybija się w pewnej odległości szyb wentylacyjny, komunikujący się z wielkim wentylatorem motorowym, ustawionym na powierzchni. Od szybu wyciągowego prowadzą równolegle do poziomu ziemi chodniki, czyli t. z. sztolnie główne. W miarę pogłębiania się szybu, zakłada się je w piętrowych odstępach, głębokość ich zależy od składu geologicznego i wynosi przeciętnie około 50 m. Chodniki te przechodzą przez szyb wentylacyjny i stanowią boczne arterje komunikacyjne, którymi dowozi się do szybu wyciągowego wykuty minerał wagonikami, ciągnionemi przez elektryczne lokomotywy. Warstwy minerału wydobywanego, t.zw. żyły, są zwykle położone wśród warstw ziemi nieużytkowej i ciągną się w swym układzie geologicznym skośnie do poziomu. Podchodzi się do nich od sztolni głównych, przez chodniki dobywcze. Po wyczerpaniu się żyły węglowej zasypuje się szlak szutrem (piasek ze żwirem) i podchodzi się do dalszych żył wybijając nowe chodniki.

Wszystkie sztolnie i chodniki muszą być zabezpieczone od zawalenia się, przez stemplowanie drzewem, o czem była mowa powyżej. Węgiel urabia się dziś za pomocą materjałów wybuchowych. Przed odstrzeleniem wierci się otwory, w które wkłada się nabój. Otwór bije się młotkiem wiertniczym, napędzanym sprężonym powietrzem, lub też elektryczną wiertarką. Po wywierceniu otworu, zakłada się nabój, kapiszon i lont, lub przewód elektryczny, poczem zabija się otwór gliną. Później zapala się lont, albo powoduje przepływ prądu elektrycznego, za pomocą specjalnych maszynek. Jako środek zwiększający efekt strzału, stosuje się prócz tego podciosywanie masy węgla, czyli wrąb, który dziś się wykonywa maszynowo wrębiarką.

Wybuch odrywa masy węgla, które ładuje się wprost do wózków, lub do rynien wstrzą-

sowych w kształcie blaszanych żłobów, które otrzymują od motorów pneumatycznych, lub elektrycznych, ruch szarpany w przód i w tył, co powoduje przesuwanie się węgla w oznaczonym kierunku. Rynien tych używa się na chodnikach pochyłych zwanych pochylniami.

Na chodnikach poziomych używa się wózków ciągnionych przez lokomotywy elektryczne, benzynowe, lub pneumatyczne. Do czasów Wielkiej Wojny, siłą pociągową w naszych kopalniach były wyłącznie konie. Ciekawą jest rzeczą, że zwierzęta, wbrew ogólnym mniemaniom, czuły się pod ziemią dobrze; może dlatego, że nie dokuczały im tam gwałtowne zmiany atmosferyczne. Statystyki wykazały, że konie pod ziemią żyły dłużej, niż ich towarzysze pracujący na powierzchni ziemi. Do sztucznego światła przyzwyczajały się szybko; dogadzała im stała temperatura kopalni (6 - 9°); jedyną plagę stanowiły szczury, których w każdej kopalni jest bardzo dużo, a których obecności a raczej zapachu, konie nie znoszą.

Górnictwo, to bardzo ważny dział naszego bogactwa narodowego. Ogólnie w kopalniach naszych pracuje około 200.000 ludzi, z czego na kopalnie węgla przypada około 180.000.

Ilość wydobytego dziennie węgla przez poszczególnego górnika, waha się, zależnie od urządzeń technicznych danej kopalni, od 600 - 1815 kg. dziennie.

Mimo, iż praca górnika jest bardzo ciężka i niebezpieczna, górnicy zawód swój kochają i niosą wysoko sztandar dumy narodowej.

Mają czego być dumni, bo gdyby nie ciężki znój górnika, który wydzierał ziemi jej bogactwa wewnętrzne, życie w dzisiejszej formie nie byłoby możliwe.

Praca pod grozą stałego niebezpieczeństwa, wytworzyła wielkie zbliżenie się, to też dziś górnik górnikowi jest naprawdę bratem. W razie jakiegoś wypadku, wszyscy śpieszą z narażeniem własnego życia, na ratunek zagrożonemu.

Najczęstszą przyczyną katastrof kopalnianych, bywa oberwanie się pokładów, które grzebią w swych gruzach pracujących. Oberwaniu zapobiega się przez wyżej wspomniane już stemplowanie.

Drugą klęską górnika jest woda, zalewająca szyby. Zapobiega się temu przez odpowiednie ujęcie wód całym systemem pomp, pracujących dzień i noc bez przerwy. Jeszcze groźniejszym jest ogień. Pożar kopalni może powstać wskutek nieostrożnego obchodzenia się ze światłem, lub w następstwie eksplozji gazów. Najczęściej powstaje jednak wskutek samozapalania się, które jest następstwem tego, że niektóre gatunki węgla, po odkryciu chciwie pochłaniają tlen z powietrza. Ratunek jest trudny, bo gaszenie wodą jest niemożliwe, i jedynym skutecznym sposobem jest zamurowanie zagrożonej sztolni i odcięcie tym sposobem dostępu powietrza.

Oprócz wyżej wymienionych czyha na górnika jeszcze szereg innych niebezpieczeństw w postaci chorób, gdyż praca pod ziemią nadwątla zdrowie. Z postępem techniki, kopalnie straciły wiele ze swej tajemniczości. Tam, gdzie dawniej, jak błędne ogniki migały kaganki, lub lampki olejne, dziś jasno świecą lampy elektryczne, lub acetylenowe; tam, gdzie słychać było tylko stukot młotów i kilofów, huczą motory, a powietrzem wstrząsają głuche odgłosy wystrzałów.

Czasem tylko, gdy się zejdzie kilku starych górników, pogwarzą sobie o tem, jak to dawniej bywało, gdy światło i głośna praca maszyn nie wygnały jeszcze ducha podziemi; skarbnika i sług jego gnomów z ich królestwa.

Według legendy, skarbnik posiada moc szkodzenia, lub pomagania zmarłym. Legenda ta znalazła wyraz w następującym zwyczaju: Gdy umrze górnik i, gdy towarzysze ujmą jego trumnę, aby ją zanieść na miejsce wiecznego spoczynku, przekraczają próg domostwa, spuszczają zwłoki i uderzają trumną trzy razy o próg. Czynią to dlatego, aby zbudzić skarbnika i zawiadomić go, że jeden z jego przyjaciół odszedł z ziemi.

Patronką górników jest św. Barbara — dzień 4-go grudnia jest wielkiem świętem we wszystkich ośrodkach górniczych. Dnia tego cała praca w kopalniach zamiera, za wyjątkiem tej, która musi być kontynuowana bez przerwy.

Odbywają się tego dnia uroczyste nabożeństwa, w których uczestniczą górnicy w swoich mundurach zawodowych, a wieczorem zabawy zwane »barbarką«.

M. S. Stokowska.

Krople deszczu.

I

W zacisznym gabinecie rozbrzmiewało preludjum Szopena.

Zbyszek, wtulony w róg sofki — słuchał. Lubiał grę siostry. Zwłaszcza, gdy siedział przy nim dziadziuś i ułatwiał dziecku zrozumienie granego utworu.

Dziś dziadziusia nie było. Lecz Zbyszek rozumie wszystko doskonale. »Krople deszczu«, to przecież jego ulubione preludjum... Janka grywa je często.

Za oknami szumi deszcz, w pokoju coraz ciemniej.

Miły nastrój spłoszyło wtargnięcie Olgi. Słuszna, energiczna brunetka była kontrastem drobnej, cichej, jasnej koleżanki.

— Janko!... nowina! Niesłychana nowina! Hrabia Korecki urządza w swoim pałacu popis młodych talentów. Prosił naszego dyrektora o współudział uczniów Konserwatorjum — Z kursu fortepianowego wybrano mnie i ciebie!

Podczas, gdy Janka, odurzona tą wieścią, milczała, Olga w porywie radości — zagrała hucznie taniec cygański. W duszy snuła wizję przyszłości; taniec koncertowy... owacje tłumów... złoto... laury...

— Cóż, ładnie było? — zagadnęła Zbyszka.

— Ładnie — osądził chłopczyk z powagą. — Ale Janka gra ładniej.

— Och, solidarność rodzinna! Szczęście, że dzieci i ryby nie mają głosu.

— Moja droga! Co ja tam zagram? — troszczyła się Janka.

— Co chcesz. Wybór zależy od nas. Popis za sześć tygodni. Do widzenia!

Zbych pobiegł z nowiną do matki. Janka się zamyśliła.

Inaczej od Olgi układała sobie przyszłość. Talent swój uważała przedewszystkiem za źródło wrażeń dla siebie, dla otoczenia. Postara się również wzbudzać zamiłowanie muzyki w duszach przyszłych uczenic. A tak już wzdycha do płatnych lekcyj...

Po śmierci ojca przygarnął dziadziuś matkę, ją i Zbyszka. Kształci Jankę swoim kosztem. Jednak dziś — jutro może zabraknąć drogiego staruszka...

Wątek myśli przerwał wesoły głos dziadka:

— Winszuję ci, Januś, zaszczytu! Jak dobrze czyni hrabia Korecki, ze względu na podeszły swój wiek, urządza takie muzykalne wieczorki u siebie.

— Boję się, dziadziusiu, występowałam dotąd tylko na szkolnych popisach. Nie wiem, co wybrać...

— Ja ci pomogę, siostrzyczko! — ofiarował się Zbyszek. I tonem znawcy zaczął:

— Przywitasz gości tym tańcem z ukłonami... wiesz? Potem przejedziemy się łódeczką po cichej wodzie*.

— Albo nie! — chłopczyk zmienił plan.— Po klawiszach przeciągniesz »Pochód karzełków«! Tak, tak! A za oklaski podziękujesz »Kroplami deszczu«. Koniecznie!

— No, zobaczymy — śmiała się Janka i po namyśle dodała:

— Paderewski i Grieg pójdą, owszem. A preludjum Szopena zastąpi jeden z mazurków.

— Ja cię bardzo a bardzo proszę o »Krople deszczu«, Janeczko! — Zbych złożył rączki błagalnie. — To takie śliczne!

II.

Wieczorem godziny spędza Janka stale przy fortepianie. Oswoiła się z planem koncertu. Nawet cieszy się na ten wieczorek. Może dostarczy jej upragnionych lekcyj?

W sąsiedniej sypialni leży Zbyszek ciężko chory na grypę. Atak jego kaszlu zatrwożył pianistkę, pospieszyła do dziecka. Dziecko po chwili zapytało:

— Będę na twoim koncercie... nieprawdaż, Janeczko?

— Nie wiem, czy dzieci tam puszczą... — odrzekła Janka.

Szafirowe oczy dziecka zmąciły się łzami.

— Niech dziadziuś poprosi pana hrabiego, aby mnie wpuścił choć do przyległego pokoju. Będę patrzył na ciebie, Januś przez dziurkę od klucza.

Janka ucałowała rozpalone czoło malca.

— — — — — — — — —

* Mendelsohn: „Gondellied"

Po tygodniu zaniesiono Zbyszka na cmentarz.

Janka nie mogła płakać! Zamknęła ból w sercu. Ćwiczyła w dalszym ciągu swój program koncertowy. Odrywał on ją chwilowo od ciężkiej rzeczywistości. Jedynym teraz słuchaczem był dziadziuś.

Przy pianinie znów ją zastała Olga. Dłuższą chwilę słuchała przy drzwiach wejściowych. W grze koleżanki uderzył ją jakiś niebywały dotychczas ton.

— Co za szkoda, Janko, że nie będziesz grała na koncercie! — rzekła na wstępie.

Zaskoczyły te słowa pianistkę.

— Dlaczegożby nie?

I tybyś mogła teraz występować publicznie?

Głos Olgi brzmiał takiem zdziwieniem, że Janka drgnęła.

— Wiesz, miałam ciotkę, mistrzynię tonów. — Lecz z chwilą śmierci ukochanego brata — nie tknęła klawiszów...

Zaległo milczenie. Olga, wyszukawszy jakieś nuty, odeszła.

Janka rozpłakała się po raz pierwszy od śmierci Zbyszka.

— Jestem niegodziwa... bez serca!

Pogrążona w swem bólu i rozterce, nie słyszała wejścia dziadka. Staruszek gładził w milczeniu jasną główkę, czekając, aż się dziewczę uspokoi.

— Nie będę grała na wieczorku, dziadziusiu — i powtórzyła słowa koleżanki.

— Znam takie wypadki, Januś, znam — potwierdził dziadek. — Lecz ten, kto ci o tem wspominał, napewno nie wiedział, że dusza ludzka rozmaicie reaguje na ból. Jedni wyrzekają się wówczas muzyki, drudzy w niej właśnie szukają ukojenia.

— Do tych drugich ty należysz, Janko — dodał po chwili. — Każde uczucie, radość swoją, czy smutek — przywykłaś powierzać tonom. Więc będziesz grała na tym wieczorku. Zrobisz to dla pamięci Zbyszka.

III.

Jasno oświetlona sala przepełniona jest wyborową publicznością. Wśród zieleni, czeka na artystów koncertowy Rösendorfer.

W ponsowej, jedwabnej sukni weszła na estradę Olga. Czarnemi oczyma ogarnęła zebranie, posłała uśmiech, swobodnie usiadła do fortepianu.

Hucznie a czysto przebrzmiała w sali »Rapsodja węgierska« Liszta. Po niej przecwałował z rozpędem po klawiszach »Król olch« Szuberta.

Za oklaski dziękowała pianistka mazurkiem Szopena. Jednak w wykonaniu Olgi Szopen wypadł blado.

— Szopena nie można grać tak bezdusznie! — doleciała ją czyjaś uwaga.

Po popisach śpiewaka i skrzypka, przyszła kolej na Jankę.

Czy dziś zmogła ją może duchowa rozterka, ale dość, że grała, jak automat.

»Menuet« Paderewskiego silny i wymowny — wypadł bezbarwnie. Ospale przedefilował »Pochód karzełków« Griega.

Ci, którzy znali ten obiecujący talent ze szkolnych popisów, byli dzisiejszą grą Janki rozczarowani.

Chłodne oklaski przyjęła pianistka sztywnym ukłonem. Sama czuła, że nie zasłużyła na owacje — skierowała się spiesznie do szatni.

U wejścia sędziwy pan domu prosił o naddatek. Nie odmówiła mu.

Weszła ponownie na salę. Drgnęła. W tej chwili dopiero zobaczyła portret chłopaczka, wiszący na ścianie.

Zaśmiały się do niej niebieskie oczy dziecięce, łudząco podobne do tych, co zgasły... i zda się, że usłyszała głosik, dobrze jej znany...

— »Ja cię bardzo proszę o »Krople deszczu«, Janeczko!«.

Znikło poczucie rzeczywistości. Widziała przed sobą jedynie Zbyszka, zapragnęła spełnić jego prośbę.

Rozśpiewał się Rösendorfer poezją geniusza tonów. Wyraziste akordy, zwiewność passaży, porywająca tęsknota, niepokój, smutek... Krople deszczu przeszły w krople łez, spływające bezwiednie z oczu pianistki.

W sali zaległa cisza.

Gdy Janka schodziła z estrady, zerwał się grzmot oklasków, a kwiaty rzucano do jej stóp.

Zmógł młodą artystkę nadmiar bolesnych wzruszeń i ten wysiłek opanowanego bólu na wspomnienie Zbyszka. — Zrobiło się jej słabo—zemdlała...

IV.

Nazajutrz w niedzielę pospieszyła Olga do koleżanki, chcąc powinszować jej wczorajszego triumfu i dowiedzieć się o stanie zdrowia.

Nie zastała Janki, która poszła z matką do kościoła. Zaproszona przez dziadka, by zaczekała, weszła i w gabinecie stanęła olśniona. Ujrzała tam wymarzoną wizję własnej przyszłości.

Portret Zbyszka znikał dziś w białych kwiatach, a na stole leżał wspaniale oprawny życiorys Szopena.

— To wszystko przysłano podczas nieobecności Janki — wyjaśnił staruszek. — Przyszedł sam hrabia Korecki, aby jej wręczyć najnowsze dzieło o Szopenie z własnoręczną dedykacją, na pamiątkę wczorajszego wieczorku. Żałował, że brak czasu nie pozwolił mu czekać na jej powrót. Cóż to będzie za niespodzianka dla mojej wnuczki!

Po chwili dodał:

— Bo też Janka prześcignęła wczoraj samą siebie. Grając preludjum na klawiszach, grała je zarazem na strunach dusz słuchaczy. Porwała wszystkich siłą uczucia i bólu.

Wskazując na portrecik Zbyszka, westchnął:

— Mało kto w sali wiedział, że stało się to kosztem jej ciężkiego przeżycia.

...A w myśli Olgi zawisły niewypowiedziane słowa:

— I nikt nie wiedział, jak równocześnie ona, Olga zmagała się z wyrzutem sumienia, wywołanym zemdleniem Janki. Niskie uczucia zazdrości w sobie stłumiła. I ona odniosła wczoraj wieczorem triumf, ale triumf wewnętrzny, nieznany nikomu, przeżyty tylko we własnej duszy. —

Dziś już bez cienia zazdrości podziwiała owację kwiatową, zgotowaną koleżance i przerzucała karty życiorysu Szopena. Wtem oczy jej spotkały się z łagodnem wejrzeniem dziadunia. Sędziwy znawca dusz, kładąc rękę na ramieniu Olgi, osądził:

— Pani stanowczo przewyższa Jankę biegłością techniczną, lecz życie nie wycisnęło jeszcze bolesnych śladów na jej grze. Jankę dotknął ból przedwcześnie...

Po chwili zapytał:

Czy weźmie pani udział w radości mej wnuczki?

Odpowiedziała mu jasnym uśmiechem.

Wisława.

FALE RADJOWE

Grają po szybach myśli zbłąkane....
szare od wichru, łzawe od słoty,
zdala przybyły późną godziną,
budzą cię, wstawaj! — patrz jak ich wiele...
Wszystkie skupione w płycie radjowej —
myśli wszechświata drgają na falach,
niema dla wzroku linij, kolorów,
ucho nie chwyta tonów dźwiękowych.
Myśli wciąż grają pieśni za oknem,
kwiaty na szybach lekko cieniują,
wiatr je uścisnął, dmuchnął, pobielił, —
myśli zaskrzepły — tyle ich było! —

Pokój jest ciepły — zimno na dworze,
myśli nie lubią zmian w atmosferze.
Czytaj z tej księgi, którąś zamroził,
okna są twoje — myśli nie twoje.

»I«

UŚMIECHNIJ SIĘ!

Uśmiechnij się trochę, lecz szczerzej, goręcej,
Toć cudnie na świecie jest tak.
Do szczęścia ci chyba nie trzeba nic więcej?
Miej myśli wesołe i wolne, jak ptak.
Uśmiechnij się proszę, serdecznie radośnie
Tak słodko na ziemi jest żyć.
Zwróć oczy do góry, do Boga, ku wiośnie,
Bo radość i uśmiech także muszą być.

Janka Pikułówna.

Rzut oka z samolotu

»Danuto« — kimkolwiek jesteś, piszę z przyjemnością do Ciebie w odpowiedzi na Twoje wezwanie zwrócone do I-owców.

— »Ślimak« — oznacza zamknięcie się w sobie, jest to jedna z cech młodego poety lubelskiego.

— »Rogi« — symbol mądrości. Poeta, o którego pytasz ma wyjątkowo duże, wysunięte naprzód czoło. Załączona karykatura najlepiej to ilustruje.

— »Narzędzia« — to jego wszechstronne uzdolnienia artystyczne.

»Pchnij rogami mocy wszystkie narzędzia,
niech lecą wszystkie do Mocy«.

Należy rozumieć jako wykorzystanie wrodzonych zdolności i zbliżenie ich do prawdziwego Ideału piękna.

Wybitne jednostki przedstawiali jako ludzi o dużych czołach np. Michał Anioł uzewnętrznił potęgę umysłu Mojżesza w swej rzeźbie — która się znajduje w bazylice św. Piotra w Rzymie — przez t. zw. róg mądrości« nad czołem. Zobacz fotogr. posągu Mojżesza w N. 4. »Dziś i Jutra« z b. r. Twoje zainteresowanie się I-owcami jest bardzo ciekawe. Czy naprawdę jesteś aż tak im daleką? Wyczuwa się w Tobie bardzo bliskiego ducha i kto wie, czy właśnie Ty nam nie wniesiesz dużo pogody i ciepła w nasze życie i pracę. Wówczas napewno będziesz miała temat do radości, bo »dawanie już jest nagrodą«.



Postaraj się o Nr. I. »Odskoczni« ze stycznia, literackiego miesięcznika, wydawanego przez Akademików lubelskich i przeczytaj wiersz p. t. »U kresu goryczy«. Zrozumiesz wówczas »ślimaka«, zrozumiesz cel kobiety w życiu. Wiersz cudowny — odznaczony I nagrodą na turnieju poetyckim, a jednak u kresu goryczy! »*I*«

Młodzież akademicka naprawdę żyje.

W maju b. r. organizuje się pielgrzymka młodzieży akademickiej z całej Polski do Częstochowy. Objaw radosny. Młodzież Akademicka żyje. Pulsują w niej naprawdę zdrowe siły. Tyle dowodów już dała, ta szlachetna cząstka społeczeństwa polskiego, swego przywiązania do wiary katolickiej, że naprawdę można o niej tylko z dumą mówić. Nieraz musimy się wstydzić swego ospalstwa, obecnie jednak ufność przepełnia serca na myśl, że na uniwersytetach polskich młodzież zdobywa się na odwagę. Młodzież walczy o krzyż. Ufajmy, że ten krzyż, który był zawsze symbolem zwycięstw — da zwycięstwo moralne naszej Polsce dzięki odwadze młodzieży akademickiej. Oby jaknajliczniejsze zastępy odważnych otoczyły Jasną Górę, z której napewno wyniosą moc ducha i siłę przekonań. Królowa Polski czuwała nad losami naszej Ojczyzny i teraz czuwać będzie nad tem, by jej wróg nie zdeprawował moralnie.

Młodzieży akademicka, idź po siłę na Jasną Górę i bądź prawdziwą solą wolnej Ojczyzny!

Młodzi w walce o prawdziwą kulturę. W styczniu 1936 r. ukazał się pierwszy numer »Odskoczni« kulturalno-literackiego pisma Akademików lubelskich. Odskocznia występuje z jasnym i poważnym programem:

Odskocznia: jednoczy najzdolniejsze młcde pióra naszego uniwersytetu.

Stawia sobie za cel propagandę i ożywienie literatury, sztuki i kultury lubelskiej, oraz wynajdywanie i uwidocznianie regionalnych wartości lubelszczyzny, Lublina i znaczenia naukowego naszej Alma Mater.

Pragnie przemówić do całego kulturalnego społeczeństwa mocnym głosem o szacunek i przyjazną ocenę lubelskiej historji, tradycji i intelektualnej współczesności.

Łamy tego w istocie wartościowego pisma są do dyspozycji wszystkich, którzy pragną poprzeć wymienione tendencje.

»I«

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI.

M. C. Wilno, Gimn. Filomatów. Artykuł przyszedł za późno. Komitet redakcyjny zadecyduje o jego losie. Warto dalej pracować, bo jest wyraźny talent. Fantazja musi być ujażmiona.

Oczekiwać będziemy dalszych utworów i serdecznie do współpracy zapraszamy.

Kółko Redakcyjne przy Gimn. we Włocławku. Dochodzą mnie wieści, że »skrzydła opadły«. Sądzę, że utwór koleżanki obecnie drukowany, doda zapału i, że Redakcja jak dawniej będzie miała Wasze prace. Prosimy nie zwlekać.

Alis. Jak ze zdrowiem? Choroba jest jednak często okresem naszego urabiania się wewnętrznego, a więc obecna samotność najwidoczniej sprzyja, bo wiersze są bardzo ładne. »Matka« ukaże się w przyszłym numerze. Kuzynka o ilustrowanie winietkami wierszy bardzo prosimy? A może zechce okładkę na maj zaprojektować? Czy mam Go podpisywać?

J. P. Kutno. Dobrze jest zdobyć się raz na odwagę. Każdą rzecz w określonym czasie wykonać. Radzę przeczytać i zastosować się do myśli zawartych w artykule »Teraz« w numerze styczniowym naszego pisma. Talent jeżeli jest, rozwinie się stopniowo, a wytężona praca szkolna i obowiązkowość nie będzie przeszkodą — przeciwnie, pomocą.

H. R. z Wilna. Za przysłanie swoich prac bardzo dziękujemy. O św. Kazimierzu nie umieszczamy, bo już po święcie Jego — może na rok przyszły. Miło nam, że pismo wysyłane na Łotwę, oddaje tam oświatowe usługi.

Z. D. K. w Krzemieńcu. Bardzo wdzięczne jesteśmy za współpracę — artykuły w pełni odpowiadają. Tym razem nie za późno nadeszły, bo i druk się opóźnił. Dalszych prac z wdzięcznością oczekiwać będziemy.

TREŚĆ N-ru 7-go:

WARUNKI PRENUMERATY: ROCZNIE 6 ZŁ.

Numer pojedynczy 0·60 zł.

K o n t o P. K. O.: „Dziś i Jutro", Nr. 404.930.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor:

Zofja Zakrzewska.

Adres Redakcji; Kraków, ul. Starowiślna 11.

Drukarnia „Powściągliwość i Praca" w Krakowie.